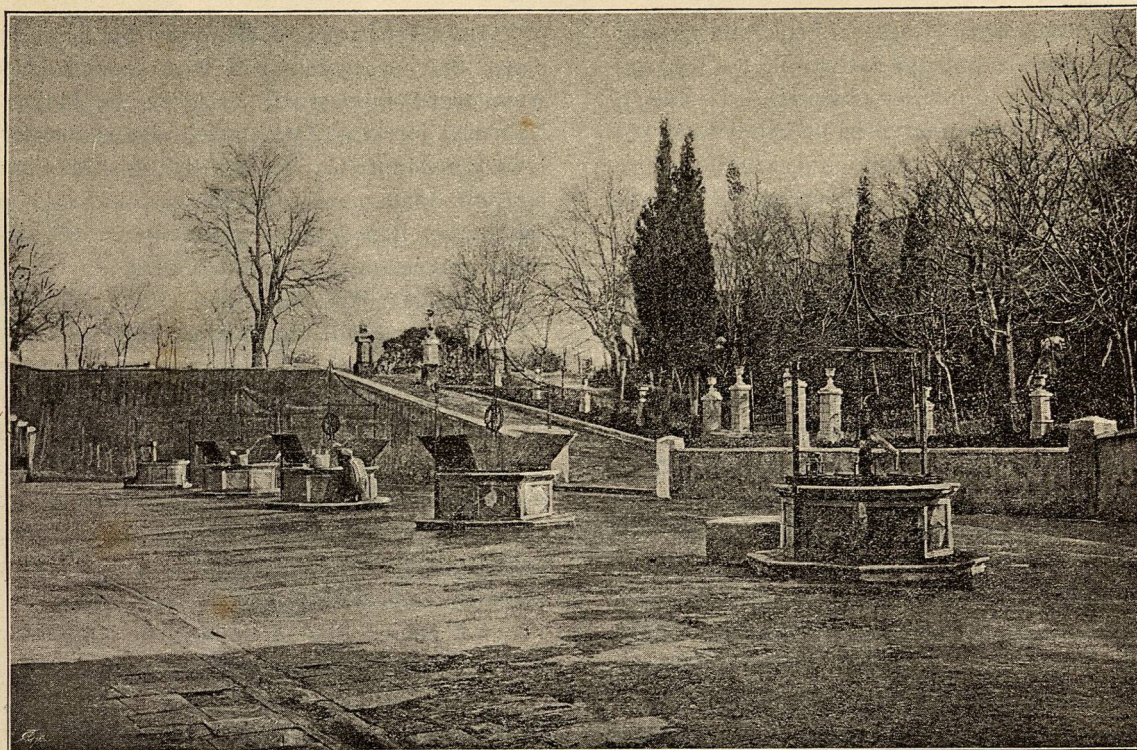




Dalmacya. — Zbiorniki wody słodkiej w Zarze; podług fotografii. (Zob. str. 63).

## DALMACYA.

(Notatki z podróży w r. 1892).

(Ciąg dalszy).

—o—o—o—

### II.

Zara.

Podczas, gdy nasz »Danubio« w jednym miejscu stojąc, poczyną zgrabny i piękny obrót w porcie, a liczni majtkowie kręcą się, uwiązując liny do kotwic morskich rozrzuconych w przystani, rzucam raz jeszcze spojrzenie po za siebie, karmiąc oko prześlicznym widokiem.

Z północnego-wschodu daleki horyzont wybrzeży, zamyka sine pasmo gór Velebic, grzbiet to najwyższy w całej okolicy, rozgranicza Dalmacyę od Kroacyi, z północnego-zachodu lśniące srebrzyste fale Adryatyku bez końca się ciągną, aż w oczach znikną złączone z błękitem nieba, od południa długa wyspa Uglian, pełna zieleni i życia, tworzy z wybrzeżem zaratyńskim szeroki kanał, nad którym panuje i strzeże go zamek św. Michała.

Parowiec nasz już stanął na uwięzi, zarzucają pomost i znowu ta sama rozkosz przy wysiadaniu, ponieważ znajdujemy się na stałym lądzie. Ruch tu ogromny. Mnóstwo ludzi wychodzi z miasta nad brzeg morza, częścią dla załatwienia interesów, jakie każdy okręt ze sobą przywozi, częścią dla powitania przybyłych znajomych, a może najwięcej z ciekawości i dla rozrywki.

Bo też to pasmo lądu przed fortiecznymi murami miasta, zawsze przedstawia dla oka widok miły, pełen życia i owszem samo tentno życia najsilniej tu bije, a zawsze znajdzie się jakaś rozmaitość.

Wchodzę do Zary przez wspaniałą bramę świętego Chrysogona. Cała z ciosowego kamienia, utworzona z łuku rzymskiego o korynckich pilastrach. Niedgdy była zdobną w posągi znakomitych mężów, jak świadczy na niej dziś jeszcze czytelny napis. Melia Anniana, patrycyuszka rzymska wystawiła go ku czci swego męża Leopicyusza, Wenecya zamieniła na trofeum, zastosowane do wymagań i potrzeb epoki. Patron Zary święty Chrysogon, wykuty w kamieniu, strzeże nad wejściem do niej mieszkańców, z drugiej zaś strony lew wenecki daje świadectwo po dziśdzień o panowaniu tutaj Rzeczypospolitej.

Nie widząc żadnej dorózki, biorę przewodnika i każe się prowadzić do seminaryum Zmajewicza. — W parę minut stanęliśmy na małym placyku, którego trzy boki tworzy katedralny kościół pod wezwaniem św. Anastazyi, przytykające doń pod prostym kątem małe seminaryum Zmajewicza i wielkie seminaryum dyecezyalne. Jeden z przełożonych tamtejszych X. D., mój znajomy, serdecznie mnie powitał, tem serdeczniej, ponieważ przy pożegnaniu nie spodziewaliśmy się zobaczyć w tem życiu.

Małe seminaryum powstało staraniem i nakładem owego sławnego Arcybiskupa Zary, który będąc przedtem



Arcybiskupem Antiwarskim i Legatem Papieskim na całą Albanię, bardzo wielkie położył zasługi dla tamtejszego Kościoła, o czym na innem miejscu obszerniej mówiłem<sup>1)</sup>. Kształci się tu młodzież dalmatyńska na kandydatów do stanu duchownego i odbywa nauki gimnazyalne, zanim przejdzie następnie do wielkiego seminaryum na filozofię i teologię.

Tak, jak we wszystkich innych gimnazyach, tak samo i tutaj, chociaż tylko dla 40 chłopców, urządzono wszystko, co może posłużyć do wykształcenia młodzieńca. Jak na taki mały zakład, znalazłem tu między innemi bardzo bogaty gabinet zoologiczny, botaniczny i mineralogiczny, a miło mi było spostrzedz wiele okazów, zwłaszcza minerałów, zebranych na naszej polskiej ziemi i oznaczonych miejscem ich pochodzenia przez jednego z kapłanów włoskich (X. Cattaneo), który swe nauki w Krakowie odbywał.

W bibliotece seminaryjnej bardzo mnie zainteresował mszał pergaminowy, własność niegdyś zniesionego klasztoru OO. Benedyktynów przy kościele św. Chrysogona. Prześliczny to monument paleograficzny z XV wieku in folio o 1000 stronach. Tytuł z dedykacją św. Chrysogonowi męczennikowi, zdobią miniatury delikatne o żywych świeżych barwach i bogatych złoceniach. Na każdej z następujących stronic o dwu kolumnach, znajdują się inicjały dobrego rysunku, kolorowane i złożone starannie. Niektóre strony całe są zamalowane miniaturami figur zwierzęcych czworonożnych i ptaków. Litery gotyckie zawsze równe, wyraźne, rzadko kiedy spostrzegłem skrócenia wyrazów. Pergamin tak białawy jak papier. Dużo podobnych miniatur w mszałach i kancyonach widziałem w sławnych bibliotekach Benedyktyńskich w Subiaco, Monte-Casino i w publicznej Sienneńskiej, lecz nigdzie o ile pamiętam, tak pięknego nie znalazłem okazu, chyba jeden egzemplarz Watykański mógłby z nim rywalizować.

Imię św. Chrysogona męczennika w wielkim jest poważaniu u Zaratyńców, a jeszcze większe pamiątki łączą się z jego kościołem. Pierwotnie był on dedykowany św. Antoniemu opatowi i mieszkali przy nim mnisi z puszcz Egiptu. Jeszcze w wieku IV wspomina o nich Papież Zosim w liście do Esichiusa biskupa Salony i św. Hieronim w żywocie św. Hilariona<sup>2)</sup>.

Gdy w r. 649 ciało św. Chrysogona przeniesiono z Akwilei do Zary, tak wielką cześć mieszkańcy okazali relikwii tego Świętego, że wybraawszy go sobie za

protektora i patrona, dedykowali mu kościół św. Antoniego. Stary pergamin z X wieku, pochodzący z archiwum tegoż monasteru, świadczy, że Majo, prokonsul Dalmacyi i rektor Zary, przebudował kościół a powoławszy z Monte Casino Benedyktyńską Madiusza, mianował go opatem pustelników egipskich. Ci przyjąwszy regułę św. Benedykta, z pustelników stali się mnichami Benedyktyńskimi i dotrwali tam aż do XVIII wieku.

Chociaż dziś niema tam OO. Benedyktynów i kościół trochę zaniedbany, pomimo tego św. Chrysogon nie stracił na czci od dawien dawna mu oddawanej i jak dawniej tak i teraz, jego wizerunek służy za herb miasta.

Pierwszy kościół, jaki zwiedziłem w Zarze a zarazem i w Dalmacyi, była tutejsza katedra pod wezwaniem św. Anastazyi. Sięga ona pierwszych czasów Chrześcijaństwa i pierwotnie była dedykowaną św. Piotrowi, księciu Apostołów, który tu jak tradycja podaje, pierwszy zaszczepił wiarę w Chrystusa.

O. Daniel Farlati w swoim pomnikowym dziele *Illiricum Sacrum* stanowczo twierdzi, że św. Piotr w swych podróżach ze Wschodu do Rzymu, nie mógł pominąć wybrzeży Dalmatyńskich. Zwykła bowiem droga i najkrótsza do Rzymu, prowadziła na Ankone i Fano, a do tych miejscowości z przeciwległej strony najbliższą jest Zara, pozostająca od dawien dawna w bezustannych stosunkach handlowych z Włochami.

Prócz innych świadectw rękopisemnych i drukowanych, tradycja wielką rolę odgrywa. Otóż tak wielkie było tu nabożeństwo do św. Piotra, że prócz dzisiejszej katedry Zarateńskiej, dwa inne kościoły dedykowano w tem mieście św. Piotrowi, i aż do ostatnich czasów corocznie na dzień 29 czerwca tworzą się wspólne Dalmatyńców pielgrzynki na łodziach do Ankony i dalej łądem do Rzymu, aby uczcić grób tego, który pierwszy światło wiary w ich narodzie rozniecił. Wszystko to nie dałoby się niczem innem wytłomaczyć, jak prawdziwością podania o pobycie w Dalmacyi św. Piotra.

W każdym razie, że Chrystyanizm w Dalmacyi sięga czasów Apostolskich, najlepsze świadectwo znajdujemy w liście św. Pawła pisanym do Rzymian<sup>1)</sup>. Apostoł chlubi się w Chrystusie, iż mocą Ducha św. »od Jeruzalem wkoło aż do Illiryku napełniłem Ewangelią Chrystusową«, a wiadomo, że wówczas do państwa Illiryskiego należała także dzisiejsza Dalmacya. Że znalazł tam serca otwarte na przyjęcie »dobrej nowiny«, świadczy o tem jego staranie o pierwsze gminy chrześcijańskie, jakie prawdopodobnie ze św. Piotrem założył, gdy wspomina w liście do Tymoteusza<sup>2)</sup>, że wysłał do Dalmacyi swego ucznia św. Tytusa, a tenże jak twierdzi Korneliusz a Lapide, założywszy i zbudowawszy wiele kościołów,

<sup>1)</sup> Zob. *Albania, zarysy etnograficzne kulturalne i religijne*, Kraków, 1893, str. 156 i *Missye katolickie* z r. 1892, str. 242.

<sup>2)</sup> Papież Zosim pisze 417 r.: »Coetus monachorum, quorum solitudo frequentior est in Dalmatia«; a św. Hieronim: »Sicut Aegyptum, sic et insulae Dalmatiae, solitudines piorum hominum cum choris psallentium populo christiano exhibentur«.

(Zob. *Zara Christiana* del Carlo Federico Cav. Bianchi, Vol. I, pag. 297, Zara, 1877).

<sup>1)</sup> Ad Roman. c. 15. v. 19. »Ita ut ab Jerusalem per circuitum usque ad Illiricum repleverim Evangelium Christi«.

<sup>2)</sup> List II, r. IV, w. 10.



powrócił na wyspę Kretę, której został biskupem. Takie miłe wspomnienia budziły się w mem sercu, gdy po raz pierwszy przekraczałem progi tej prastarej świątyni. Od tego czasu wielkim uległa zmianom. Już nieco ją przebudowano, gdy w wieku IX biskup Donat, wracając z poselstwa w Konstantynopolu, zabrał ztamtąd ciało św. Anastazyi męczenniczki i złożył w tym kościele. W parę wieków później, z pięknej budowy pozostały gruzy. Oto co się stało w pierwszych początkach XIII wieku, jak świadczą zaratyńskie kroniki:

Z końcem roku 1202 przysłała do skutku czwarta krucjata o Ziemię świętą z inicjatywy Francyi, Włoch i Niemiec, aby ją wybawić z rąk tureckich. Papież Innocenty III przyzwolił na tę krucjatę pod warunkiem, aby Krzyżacy pod grozą ekskomuniki nie wyrządzali podczas wojny żadnej szkody ludom chrześcijańskim i nie odważali się napadać na żadne chrześcijańskie miasta, mianowicie na Zareę, która wówczas należała do króla węgierskiego Andrzeja, syna Beli III.

Tymczasem 4000 wojska Krzyżowców na 480 okrętach pod wodzą doży Henryka Dandolo zamiast na Aleksandryę, jak było w projekcie, skierowali drogę do Zary, przerywając łańcuch broniący wstępu do portu, wychodzą na ląd stały i poczynają oblegać miasto. Zaratyńcy zamknięci w murach, bronią wstępu najeźdźcom, wznosząc krzyże na bastiony, jakby chcieli oznajmić, »jesteśmy chrześcijanami, jesteśmy krzyżowcami«. Pomimo tego zawrzała zacięta walka. Po pięciu dniach oblężenia kruszą się mury, nieprzyjacielem wpadają wyłomem, poczynają się pożoga, rabunek, mord. Kościoły, wspaniałe prywatne i publiczne budowle zmieniały się w gruzy. Krzyżowcy — i w tem była widoczna kara Boża — poczęli się sprzeczać między sobą o zdobycze, powstała walka tak zaciekała między Francuzami a Włochami, że więcej było wówczas krwi rozlewu, jak w chwili ich wejścia do miasta. Na domiar złego wybuchła zaraza, dziesiątkując najeźdźców. Papież Innocenty III, rzucając na przestępców klątwę, w liście swym wspomina, że splamili ręce krwią niewinną, zniszczyli miasto, zburzyli kościoły i ołtarze<sup>1)</sup>. Ten sam los spotkał i katedrę św. Anastazyi.

Dzisiejsza jej budowa z pierwszych lat XV wieku jest w stylu romańsko-gotyckim o trzech nawach, których łuki wspierają się po każdej stronie na 7 kolumnach. Ołtarz pod baldachimem o czterech kolumnach spoczywa nad ciałem św. Męczenniczki, drugiej patronki Zary. Chór o stalach czarnych złocistych, nader pięknej roboty w stylu *cinquecenta*, jest jednym z najbardziej cenionych dzieł artystycznych w tym kościele. Dokoła głównej nawy po nad kolumnami, prowadzi piękna i zgrabna galeryjka, którą można obejść wewnątrz cały

kościół z wyjątkiem absydy. Zewnątrz katedry bardzo oryginalna facyata z szeregiem kolumn aż do samego szczytu i bardzo piękna wieżycy w stylu romańskim, dotychczas jeszcze nie dokończona. Rozpoczął jej wspaniałą budowę arcybiskup Zary Valaresso, patrycyusz wenecki, chcąc rywalizować z wieżą św. Marka w Wenecyi. Jednak jego rodzina widząc, że cały swój majątek w budowę wkłada, miała jak mówią odmówić dalszych rodzinnych funduszy. Dlatego tylko pierwsze piętro udało mu się wyprowadzić w górę. Obecnie zebrały się pieniądze na dokończenie pomnikowego dzieła, i jest nadzieja, że może niebawem staną i dalsze trzy piętra wieżycy z latarnią.

Moi dwaj towarzysze Dalmaci, widząc, że się bardzo interesuję zabytkami Zary, mówią:

— Musimy koniecznie jeszcze zobaczyć kościół św. Symeona, patrona Zary.

— Iluż więc macie patronów w swem mieście — pytam zaciekawiony — bo już dwu poznałem: św. Chrysona i św. Anastazyę.

— Trzech mamy, a każdy z nich przedstawia odrębną epokę historyczną: św. Anastazyja bizantyńską, św. Chrysogona epokę miasta autonomiczną, św. Symeona wenecką.

Wązkimi acz czystymi uliczkami stanęliśmy niebawem przed kościołem św. Symeona. W wielkim ołtarzu wznosił się kiedyś wspaniały sarkofag z figurą św. Symeona, zawierający tęsamą rękę, na której piastował Dzieciątko Jezus i wyrzekł wówczas owe prorocze słowa do Najśw. Maryi Panny: »Oto Ten jest położon na upadek i na powstanie wielu w Izraelu, i na znak któremu sprzeciwiać się będą i duszę Twą własną przeniknie miecz (...)<sup>1)</sup> Cały sarkofag jak i czterech aniołków, na których się wspiera, dar królowej Elżbiety, żony króla polskiego i węgierskiego, Ludwika, był ze srebra. Z czasem, wśród potrzeb miasta, srebrnych aniołków zamieniono w figury z brązu i kamienia.

Sam kościół z bladej-czerwonej cegły nic szczególnego nie przedstawia, a tytuł dzisiejszy dopiero w późniejszych czasach otrzymał, po przeniesieniu z kościoła Matki Boskiej relikwii św. Symeona. Dawniej był pod wezwaniem św. Szczepana, pierwszego męczennika.

Podanie mówi, że w tym właśnie kościele Władysław król neapolitański koronował się 1403 r. na króla Węgier, zapewne dla czci, jaką miał dla św. Szczepana męczennika, patrona tego, który królewską koronę ozdobił aureolą Świętych.

Ledwie wyszliśmy z tego kościoła, zamykającego w swych murach tak drogocenne pamiątki dla każdego chrześcijańskiego serca, gdy oto nowy pomnik stanął przed nami, przypominający pierwsze chwile Diadory, tak się dawniej nazywała Zara, gdy z pogańskiej stawała

<sup>1)</sup> Zob. *Bianchi Fasti di Zara* I. c. p. 26 i *Zara Christiana* I. c. p. 89.

<sup>1)</sup> Św. Łuk. Roz. II, w. 34.



się chrześcijańską. Na placu *dell'erbe* wznosi się wysoka kolumna (zob. rycinę na str. 65), na której czas nie jedno swe piętno wycisnął.

— Oto pomnik — mówią mi towarzysze moi — może najstarszy w Zarze z epoki przyjęcia przez nas wiary w Chrystusa. Przodkowie nasi wzruszeni słowy i cudami św. Łukasza i Tytusa, przyjęli Ewangelię św., uczcili krzyż, poczęli niszczyć zabytki pogańskie, burzyli świątynie lub zamieniali na domy Boże. Oto ta kolumna daje świadectwo naszym słowom. Wystawiona i ozdobiona godłami pogańskich bogów, przez naszych pierwszych chrześcijan ogołoconą została ze wszystkiego, co mogło przypominać pogaństwo, a natomiast wykuto krzyż na miejscu dawnego ołtarza.

Rzeczywiście otwory, zrobione nie przypadkiem, świadczą o jakimś zamachu na kolumnach. Nie chciano jej zniszczyć, bo cóż byłoby łatwiejszego, jak wyrwać i połamać, zostawiono więc, lecz że z czegoś oczyszczono, coś powyłamywano, to jest widoczne, podobnie jak i krzyż wyciosany na miejscu dawnego ołtarza.

— Cóż znaczą — pytam — te łańcuchy straszliwe i kajdany przykute do kolumny?

— Za czasów weneckich a może i dawniej — odpowiada Dalmata — przykuwano tu zbrodniarzy, a najczęściej bluźnierców, aby za publiczne zgorszenie, publiczną pokutę czynili. Było to karą, lecz zarazem także przestrogą dla ludności, która się tu po dziś dzień w dnie targowe gromadzi.

Pomnik to bardzo ciekawy dla archeologa, lecz nie jedyny w Zarze. Z *piazza dell'erbe* zmierzamy do kościoła św. Donata, w którym jak mi mówiono, najciekawsze znajdują się pomniki z epoki rzymskiej. W kilka minut stajemy przed wysoką rotundą, której zaledwie kopuła stercząca po nad domostwami przyległymi do niej, daje poznać na zewnątrz, że się tam kryje jakiś pomnik stary. Zawołaliśmy kustosa tej ta-

jemniczej świątyni. Stanął niebawem przed nami, mężczyzna barczysty, rosły, z wielkim garbem wyrastającym mu po lewej stronie łopatki, o inteligentnej, wielkiej, pergaminowej cery podłużnej twarzy, z pękiem kluczy w żyłastych rękach. Gdybym chciał sobie wyobrazić odpowiedniejszego stróża starożytnych zabytków, zdaje mi się, że fantazya chociażby najbujniejsza, nie mogłaby

się zdobyć na typ piękniejszy. Jego postać i melancholijno-poważny wyraz twarzy był jakby przygotowaniem obrazu, jakiśmy mieli zobaczyć. Zgrzytnęły zardzewiałe zamki wysokiej bramy i weszliśmy do wnętrza. Oczom naszym przedstawiła się rotunda około 20 metrów średnicy. Sześć pilastrów kolosalnych rozmiarów około trzy metry oddalone od murów świątyni, podtrzymują sklepienie, które okręga mur i pilastry dokoła. Nad tą dolną sklepioną galerią  $8\frac{1}{2}$  metra wysoką wznosi się tyleż co u dołu pilastrów, podtrzymujących kopułę. W ten sposób utworzyły się dwa piętra.

W dolnej części, zaraz od wejścia, spostrzegamy trzy absydy, środkowa z nich największa i najszersza. Takie same znajdują się w górnej galerii. Naprzeciwko absyd zamiast pilastrów, znajdują się dwie wysokie marmurowe kolumny (2·20 metrów obwodu) i dwie mniejsze na piętrze. Od dołu do szczytu dzisiejsza świątynia jest 34

metrów wysoka, w dawniejszych czasach była jeszcze wyższą, ponieważ pierwsze piętro było parę metrów niżej położone. (Zob. rycinę na str. 60).

Z napisu *Iunoni Augustae etc.*, wrytego w marmurze, dowiadujemy się, że mieszkańcy Diadory wystawili tę świątynię ku czci Liwii, żony Augusta, w dowód pamięci za otrzymane dobrodziejstwa od jej męża cesarza. Gdy ludność Zary przyjęła wiarę w Chrystusa, św. Donat biskup miejscowy, świątynię pogańską zamienił na dom prawdziwego Boga w Trójcy jedynego i dlatego, aby jaki taki dać obraz tej tajemnicy naszej



Dalmacya. — Widok na wnętrze kościoła św. Donata w Zarze; podług fotografii. (Zob. str. 60).



wiary świętej, trzy utworzył absydy na obydwu piętrach. W górnej części galeryi zgromadzali się katechumeni, w dolnej wierni chrześcijanie. Z dołu prowadziły podwójne szerokie schody, zdobne w sfinksy i inne piękne rzeźby, a następnie łącząc się, dochodziły przed ołtarz umieszczony w galeryi. W późniejszych czasach, prawdopodobnie jeszcze przed XV wiekiem, gdy ten kościół przechodził rozmaite przeróbki: jedną część daw-

nych schodów kamiennych zamieniono na 28 marmurowych stopni, na wzór *Scala Santa*, znajdujących się przy bazylice Lateraneńskiej w Rzymie. Za pozwoleniem Stolicy świętej, ludność zaratyńska cztery razy do roku po nich wchodziła na klęczkach, dostępując tych samych odpustów, jakie można uzyskać w *Scala Santa*.

Gdy w r. 1798 wojska austriackie weszły do Zary, z kościoła św. Donata, albowiem tak się nazywał ko-



Dalmacya. — Typy Morlachów z okolic Zary; podług fotografii.

ściół św. Trójcy od czasu, jak złożono w niej zwłoki św. Biskupa Zary, wyniesiono wszystkie świętości i ołtarze, i zamieniono na magazyn broni i amunicji<sup>1)</sup>.

Przy tej sposobności usunięto także i czerwone marmurowe schody *Scala Santa* do kościoła katedralnego, następnie do jego dzwonnicy. Po roku 1877 zamieniono ten przybytek Pański na muzeum starożytności. Różne odłamy marmurów z napisami pogańskimi i chrześcijańskimi, leżą porozrzucane w nieładzie, bez symetrii, prześliczna krypta z Pago, obok dwu

ołtarzyków dedykowanych Jowiszowi, to znowu zabytki kultu Diany obok szafki oszklonej, w której się przechowuje pięknej roboty pastorał z figurką św. Chryzostoma i dwie stare chorągwie z epoki weneckiej.

Cała ta świątynia majestatycznie wygląda i wielce mi przypominała Panteon rzymski. Szkoda że z niej taka ruina, i że ręce profanów wiele zepsuły z dawnej architektury. Tak n. p. otwór w kopule, oświecający dawniej całe wnętrze, zamknięto niezgrabnie drewnianym dachem, a natomiast w murach porobiono otwory na okna XIX wieku. Serce ściska się z żalu, że ta wymowna pamiątka zwycięstwa Chrystyanizmu nad

<sup>1)</sup> Zob. *Fasti di Zara*, I. c. p. 120.



pogaństwem, dotychczas jeszcze pozostaje w tak małym poszanowaniu.

Wśród 86 kościołów i kaplic, jakie się kiedyś znajdowały lub jeszcze znajdują, w Zarze, liczącej zaledwie 12.000 ludności, trudno pominąć pięknego kościołka Matki Boskiej, przy którym osiadły jeszcze w XI wieku Benedyktyнки. Pierwotnie, t. j. z początkiem X wieku, istniał tu tylko maleńki kościółek, lecz gdy Cika, siostra Kreszymira króla Dalmacyi owdowiawszy, wstąpiła do zakonu Benedyktynek i została pierwszą ksienią i założycielką tego klasztoru r. 1066, przebudowała kościół i upiększyła tak, jak go dzisiaj widzimy. Fakt ten historyczny przypomina następujący napis na marmurowej tablicy, umieszczony poniżej kraty oddzielającej kościół od klasztoru:

TEMPLUM \* HOC \* MAGNAE \* MATRI \* VIRGINI \* SACRUM  
CICHA \* JARDENSIS MATRONA \* CREMSIMIRI \* REGIS \*  
CHROBATIAE \* SOROR \* IMPENSA \* SUA \* AEDIFICAVIT \*  
ANNO \* MLXVI \* COENOBIIUM ADSTRUXIT \* AUCTUMQUE \*  
MUNERIBUS \* ET \* PRIVILEGIIS \* A \* REGE \* COLOMANO \*  
SANCTISSIME \* REXIT \* SUCCEDENTE \* SIBI FILIA \* VE-  
KENEGA \* USQUE \* AD \* ANNUM MCXI.

Koloman, pierwszy koronowany król Dalmacyi z dynastyi węgierskiej, na pamiątkę swego wejścia do Zary, zbudował przy tym kościele r. 1105 prześliczną wieżę.

W dzisiejszym klasztorze panienki dalmackie odbierają bardzo staranne wychowanie, a z zakładów naukowych nietylko w Zarze, ale na całym wybrzeżu, ten wielkiem cieszy się uznaniem i wzięciem. Poważni kapłani mówili mi, że katolicyzm bijący żywszem tętnem w Zarze, zawdzięcza wiele tej szkole PP. Benedyktynek.

Dla biednych dziewczątek, jak powszechnie w innych miastach, tak i tutaj, mają wzorowo prowadzony zakład Siostry Miłosierdzia; sieroty i podrzutki również znalazły litościwe serca pań świeckich, które z pokarmem duchowym dają też i ciało posiłek, częścią z własnych, częścią z zebranych funduszy.

Kolejno obchodząc inne zakłady wychowawcze Zary, jak wielkie katolickie seminarium dyecezyalne z piękną, acz nowszą biblioteką, Seminarium teologiczne dla orientalnych duchownych, szkołę dla nauczycieli, szkołę realną, dłużej zatrzymałem się w gimnazjum VIII-klasowem, gdzie jeszcze wszystkie wykłady odbywają się po włosku. Dzięki uprzejmości dyrektora, którym jest świecki kapłan X. Rogolić, podeszły wiekiem, acz o bijącej z twarzy energii i profesora Brunelli, o włoskiem nazwisku, lecz duszą Sławianina, zwiedziłem cały zakład pięknie utrzymany, a przedewszystkiem nader cenną bibliotekę i jedną z czterech w Dalmacyi, które mają prawa na równi z uniwersyteckimi.

Z wielkiej liczby oryginalnych starych rękopisów,

bardzo sobie tu cenią *Statuto del Municipio di Zara*, spisany r. 1305 na pergaminie in folio, gotyckimi dwukolorowymi literami i *Dispaci Zorzi Girinani provveditore generale in Dalmazia e Albania*, nieocenionej wartości dla historii całego wybrzeża Illiryskiego.

Dla historyka, bibliografa i paleografa, obok najbogatszego i znakomicie uporządkowanego archiwum Namiestnictwa<sup>1)</sup>, wcale nie do pominięcia wspaniała biblioteka miejska, od swego fundatora zwana *Paravia*, w bardzo pięknym pałacu w stylu z czasów Odrodzenia. Są tam rękopisy z XIII wieku, tyjące się historii Dalmacyi (najstarszy z r. 1277), dyplomy i listy Zygmunta i Władysława, króla węgierskiego do rozmaitych panów kroackich, jest też jako cenna pamiątka przechowywany nowy testament po grecku pisany, prześliczna maleńka edycja z notatkami i podkreśleniami Silvia Pellico z czasów jego więzienia.

Z klasztornych bibliotek, OO. Bernardynów biblioteka zasługuje na uznanie, dla porządku i dobrego urządzenia. Żadna z tych, jakie w Zarze widziałem, nie była tak dogodną do pracy dla dobrego oświetlenia i dokładnych katalogów. Jako cenny zabytek, wprowadzie nie biblioteczny, lecz muzealny, pokazywano mi bardzo pięknej roboty odrzwia z XIII wieku, będące pierwotnie w chórze kościelnym tychże Ojców reguły św. Franciszka.

Rząd austriacki miał zamiar nabyć tę pamiątkę za sumę 5000 złr., lecz zakonnicy nie chcieli się jej pozbyć. Są to sceny z życia św. Franciszka, a mianowicie na jednej części odrzwi chwila jego ekstazy, w której otrzymał stygmata, poniżej św. Ludwik biskup Tolozy, w drugiej części św. Chrysogon męczennik, przedstawiony jako rycerz na koniu, z włócznią w rękę, a poniżej jakiś pobożny Franciszkanin, pogrążony w modlitwie.

Kościół przytykający do klasztoru, pochodzi z XIII wieku. Najciekawszym zabytkiem jest chór i zakrystya. W tej ostatniej, która zdaje się służyła zarazem za kapitułarz, znajdują się prześliczne rzeźby w drzewie dębowem, stanowiące jakby historię z życia św. Franciszka, a zarazem dziejów Dalmacyi.

W ogólności spostrzegłem tak w Zarze, jak i w innych miastach dalmackich, szczególniejsze zamięłowanie do historii, czy to w pomnikach, czy w literaturze. Wszedłszy do bibliotek i archiwów, można być z góry przekonany, że  $\frac{2}{3}$  książek, lub rękopisów, są treści historycznej. Sama nawet poezya po większej części epiczne utwory zawiera, a jak niegdyś pieśni Homerowskie brzmiały w ustach Greków, tak po dziś dzień historyczne pieśni, zebrane lub ułożone przez Franciszkanina O. Andrzeja Kačića Miošica, podawane są z ust do ust

<sup>1)</sup> Jest to zasługa pp. Dyonizego Böttnera i jego syna Sebestyana, którzy przez lat dwadzieścia z górą, pracowali nad uporządkowaniem przedtem rozrzuconych dokumentów pierwszorzędnej wartości dla historii Dalmacyi i Albanii.



pokoleniom dalmackim o bohaterach koronowanych i niekoronowanych od Dunaju aż po wybrzeża Adryatyku i granic Macedonii<sup>1)</sup>. Dziwić to nie powinno nikogo, jeśli rzucimy okiem na całą przeszłość dziejową Dalmacyi, na te rozmaite epoki które przechodziła, prądy jakie nią miały, na walki jakie koniecznie musiały się toczyć, a za nimi szeregi wypadków i osobistości wybitniejszych, tak zawsze wywierających silne wrażenie na młodociane umysły tych ludów słowiańskich, będących jeszcze jakby w kolebce umysłowego życia. Jedna historia mogła zbierać tu plony i zebrała obfite, może stosunkowo większe jak gdzieindziej, naturalnie z pewnym uszczerbkiem innych nauk, do których ani sposobnej chwili nie było i okoliczności nie dozwalały.

Po kilku dniach zwiedzania starożytności Zary, przeglądania bibliotek i archiwów okiem dyletanta, boć przecież nie na głębokie studia archeologiczne, lecz na wypoczynek po pracy, na jakiś czas schroniłem się do Dalmacyi, spostrzegłem, że dotychczas za mało mój cel osiągnąłem. Rzucam więc wszystkie me zapiski i wychodzę zaczerpnąć świeżego powietrza na starych wałach Zary, z których obecnie piękny ogród zrobiono. Dzieło to zupełnie nowe generała Blazekowica, namiestnika Dalmacyi. Widząc bezużyteczne dzisiejsze zaratyńskie forty, zrównał, zasiał trawę, zasadził drzewami i powstało jedno z najpiękniejszych miejsc w całej okolicy, punkt zborny inteligencji i nie inteligencji, po trudach pracy umysłowej lub ręcznej.

Krążąc dokoła, spostrzegam znowu dziwne jakieś zjawisko: pięć cystern jedna obok drugiej, pełnych przejrzystej doskonałej wody. Po co i na co aż pięć w jednym rzędzie? Odpowiedź na to znalazłem, że nie z umysłu, lecz przypadkowo je tu zrobiono. Od bardzo dawnych czasów, prawdopodobnie jeszcze z rzymskiej epoki, znajdowały się w tem miejscu kolosalnych rozmiarów podziemia sklepione, przedziwnej architektury. Czy to było miejsce schronienia dla Zaratyńców? czy kryjówka strategiczna w razie napadów? czy jakieś krużganki komunikacyjne, lub składy broni i amunicji? Nic nie wiadomo. To tylko pewna, że architekt wenecki San Micheli zamienił podziemia w pięć zbiorników wody i ozdobił tyłuż artystycznymi cysternami. W takim klimacie, w jakim się Zara znajduje, nigdy niema zanadto słodkiej wody dla potrzeb ludności (zob. rycinę na str. 57).

Obok znajduje się wspiana pięciokątna wieża, a jej przeznaczenie prawie równie jest zagadkowe, jak owe sklepione podziemia. Prawdopodobnie służyła do obserwacji kroków nieprzyjacielskich w tych czasach, gdy miasto Zara jeszcze była tylko półwyspem i broniła wstępu do stałego lądu. W późniejszych czasach z Zary zrobiono wyspę przez wykopanie kanału odci-

nającego ją zupełnie od lądu, przez co obrona jak na dawniejsze czasy była łatwiejszą. Po dziś dzień ten kanał głęboki istnieje, a jedyny na nim most zwodzony łączy miasto jako sztuczną wyspę z Dalmacją. Wstępu do Zary z tej strony strzeże pięknej weneckiej roboty zwana *Porta di terra ferma*. Wspiera się na czterech doryckich kolumnach, u szczytu zdobna skrzydlatym lwem, po bokach herbami i bardzo harmonijną dekoracją prostych linii.

Z miejsca, w którym znajdowałem się, już niedaleko było do szpitala, jednego z czterech w całej Dalmacyi, przeznaczonych dla całego obwodu. Droga doń od bramy *di terra ferma* prowadziła wśród cienia drzew i pysznych widoków na rozległą kampanię kończącą się w dali pasmem szerokich gór Dynarskich, na morze faliście, pochłaniające w siebie strugi promieni słonecznych, powietrze przytem było świeże, balsamiczne, woniejące od kwiatów polnych i drzew szpilkowych.

W pół godziny drogi stanęliśmy przed oparkanym ogrodem, pełnym drzew i krzewów kwiecistych, wśród których akacje o dużych czubatych czerwonych kwiatach, przedtem mi nieznane, szczególniejszą na siebie zwróciły moją uwagę.

Z pośrodku ogrodu, a raczej parku, wznosi się wspianały dwupiętrowy budynek, nowy, lecz w dobrym stylu, wcale nie wyglądający na szpital, lecz raczej na rezydencję magnacką. Dokoła domki gospodarcze również do niego należą. Pierwsze kroki skierowaliśmy do pokoju, na którym był napis Duśobrižnik duszpastierz, lub bardziej po polsku »kapelan szpitala«...

X. R. Počina, uprzejmy Dalmata, zaraz zawiadomił przełożoną miejscową Sióstr Miłosierdzia, pod ich bowiem kierunkiem pozostaje szpital, i poczęliśmy formalną wizytę zakładu, poczynawszy od modlitwy w pięknej kaplicy, skończywszy na wszystkich zaułkach możliwych do oglądania. Tu napis boleśtnici placao ci wskazywał, że to oddział dla płacących, tam znowu dwa osobne oddziały dla niewiast i mężczyzn, ówdzie živez czyli spiżarnia, dalej gabinet ciekawszych okazów chorób na ciele ludzkim, misternie zakonserwowanem od zgnilizny; weszliśmy i do kuchni czyściutkiej jak salonik i do pralni, w której same Siostry Miłosierdzia właśnie zajmowały się przykrą, jedną z najprzykrzejszych posług. Po salach bardzo mało znalazłem chorych, więcej łóżek było pustych, a ci co tam byli, najczęściej goili swe głowy od ran, jakie kula zadała lub ostre narzędzie. Dobry to znak zdrowotności klimatu i tegich głów dalmackich, kiedy im ani kula, ani siekiera nie może dać rady!

Chciałem już zakład opuścić, gdy przełożona odzywa się ze zdziwieniem:

— Jakto, czyż Ojciec nie chce oglądać naszego gospodarstwa?

<sup>1)</sup> Zob. *Rožgovor ugodni naroda Slovinskoga*, str. 863 wydanie w Zagrzebiu bez daty.



Nie chcąc robić przykrości pocziwej Tyrolce — najchętniej — powiedziałem — i rozpoczęła się biegania po wszystkich budynkach i oborach, pozostających pod władzą i dozorem dobrej Niemkini. Trzema językami mówiliśmy odrazu, gdyż w czterech osobach cztery reprezentowane były narody: polski, kroacki, niemiecki i włoski. Kapelan był Dalmatą, przełożona Siostr Miłosierdzia Niemką, mój towarzysz Włoch, więc z każdym wypadało jego językiem mówić, częścią z grzeczności, częścią aby lepiej być zrozumianym — była to mała wieża Babel, lecz nic to nie przeszkadzało do najlepszej harmonii i wesołości.

Spostrzegłem tu oryginalny jednokonny kierat, poruszający misternej konstrukcyi maszynę, windującą wodę dla całego zakładu. W stajence zobaczyłem piękne krówki, naturalnie tyrolskie, boć przecie tu Tyrolka gospożą, wreszcie i do chlewka musiałem zajrzeć, chociaż i pewien wstręt miałem i nos się upominał o swoje prawa. Nie wiem, co miałem więcej podziwiać, czy odwagę zakonniczy, gdy sama wypędzała świnki, by nam je pokazać, czy dziecięcą swobodę i naiwność pełną prostoty, gdy się cieszyła, słysząc pochwały, i słuszne, swego gospodarstwa. Widząc, że notuję me spostrzeżenia w czarnej książeczce, powiedziała mi, że ona również sobie zanotuje, że gość z dalekiej północy raczył zwiedzić jej zakład.

Z miłym wspomnieniem improwizowanej wizyty szpitalnej, wracamy do domu inną nieco drogą, nad samym brzegiem morza. Spotykamy najrozmaitsze typy mieszkańców tutejszych okolic: we wspaniałych strojach Morłachów z gór przybyłych na targ do Zary, to rybaków w obcisłych ubraniach, pół niebieskich, pół czerwonych jak cegła, to jakiegoś z dalszych okolic wieśniaka w szkarłatnym tureckim turbanie, owiniętego z fantazyą szalem tegoż koloru, z za pasa mu błyska kindżał i broń palna w pięknej oprawie, nawet Albańczyka. Zkąd ten się tu wziął, niżej zobaczymy, jest ich tu więcej — cała kolonia.

Słońce kończyło bieg swój dzienny i rozlało różowe światło na Zarę, morze — wysepki. Pod zmienionymi promieniami światła, ukazała się nowa panorama, wreszcie zanim zbliżyliśmy się do miasta, znikło słońce, a za nim ponury płaszcz nocy zasłonił z przed oczu widnokrąg. Zabłyśły światełka na morzu, jak błędne ogniki: to latarki rybaków wracających z targu do swych skromnych domostw. Ich łodzie małeńkie ledwie mogą pomieścić biedną ludność wysepek, wracającą z pracy. Właściciel łodzi stara się jak najwięcej zebrać osób do przewozu i za marne dwa centy godzinę i więcej wiośluje. Lecz gdy go noc zaskoczy lub burza, często się zdarza, że łódź się przechyli, uderzy o skałę, a wówczas cała załoga grób znajduje w morskiej otchłani, kończąc w ten sposób ziemską pielgrzymkę. Tutaj z żywiołem morskim i jego niebezpieczeństwem ludzie są za-

nadto oswojeni, to też i podobne wypadki nie robią wielkiego wrażenia.

\* \* \*

Chociaż Zara jest polityczną stolicą Dalmacyi, to jednak nie jest jej uosobieniem. Cały świat urzędowy nadaje jej pewnej sztywności, wielka liczba Włochów, z urodzenia lub usposobienia czyni ją dumną; agglomerat najrozmaitszych narodowości: owoc stosunków handlowych miast większych, daje jej wyraz wielkomiaśtowny. Same uliczki, place, domy, mają coś w sobie nierodzimego, lecz zapożyczonego z blizkiego Zachodu, z Włoch; nie dziwię się więc zdaniu niejednokrotnie wypowiedzianemu, że Zara to oaza włoska na ziemi słowiańskiej. Pomimo tego wszystkiego w ostatnich kilku latach, chociaż zewnętrzny charakter miasta pozostał tensam co dawniej, w usposobieniu ludności sfer wyższych, gorące sympatyje do Włoch i Włochów, jeżeli nie spadły do zera, to już są w blizkości tego punktu.

Ruch słowiański budzi się z każdym rokiem gwałtowniej i nie ustanie, aż w szkole i urzędach, na rynku i w sklepach, nie zapanuje język słowiański, rodzimy. Jeżeli zawczasu i roztropnie duchowieństwo będzie umiało wywierać wpływ swój zbawienny na ten ruch złądiną może groźny, to nie będzie obawy, żeby się wyrodził w nienawiść nie tylko tego co włoskie, ale i co katolickie.

Dzisiaj Włosi dalmatyńscy i niedalmatyńscy są przekonania, że ruch sławiański powstaje w Dalmacyi nie tyle przeciw nim, ile raczej przeciw Kościołowi katolickiemu, co wedle moich przelotnie zebranych wrażań jest nieprawdziwe i owszem wprost odwrotnie się dzieje; ruch ten skierowany jest w pierwszej linii przeciw Włochom i ich wpływowi pod względem ekonomicznym i cywilizacyjnym na kraj.

X. Marcin Czerwiński.

(C. d. n.).

## Z DAMASZKU.

List JE. X. Mikołaja Cadi arcybiskupa grecko-melchickiego  
Hauranu i Arabii do X. M. C. w Krakowie.

—o—o—o—

Damaszek dnia 7 października 1893 r.

Wielebny Ojcze!

...Stosownie do życzenia WW. wypełniam obietnicę daną za widzeniem się naszym w Krakowie i posyłam ci sprawozdanie z obecnego stanu mej dyecezyi. Bardzo byłbym ci wdzięczny, gdybyś tę odezwę przetłumaczył na język polski i ogłosił ją w waszem piśmie peryodycznem *Missyj katolickich*.

*Oto dosłowny tekst tej odezwy:*

Ośmielam się zwrócić łaskawą uwagę polskich członków Stowarzyszenia rozkrzewiania wiary na obecny stan Haurańskiej dyecezyi w Syrii, polecanej tak gorąco przez Jego Świątobliwość Papieża Leona XIII.



dziniec czyli *patio*, galeryę, oraz trzy piękne pokoje na pierwszym piętrze, a nawet dwóch Arabów do usługi. Tym ostatnim uprzejmy gospodarz każe oprowadzić po ogrodach, przeprasząc, iż z powodu modlitw, jakie ma do odmówienia, nie może nam towarzyszyć. Należy bowiem wiedzieć, że wśród współwyznawców, Mokkadem cieszy się opinią uczonego i świętego.

Przepyszne są jego ogrody, w których niebawem zostajemy obławowani pomarańczami i oliwkami, zerwanymi dla nas w naszej obecności.

Niebawem Mokkadem każe przynieść stół nakryty obrusem, oraz karafki i krzesła, należące w tym kraju do osobliwości. Następnie służący przynoszą dziewięć półmisków z baraniami kotletami, wołową pieczeńią i innymi potrawami, mocno zaprawionemi pieprzem, z których ma się składać nasz *kuskus* czyli wieczerza.

Wieczorem prowadzą nas do arabskiej kawiarni, w której kilku Beduinów wyciągniętych na palmowych matach, pali potajemnie *haszysz*, poddając się stopniowo nawpół sennej odrętwiałości, graniczącej z zupełnem uśpieniem. Oczy ich błędzą w próżni bez wyrazu i życia. Jedni z nich nucą jakieś melodye, drudzy gestykulują lub rozmawiają z urojonemi istotami. Nie mają już oni najmniejszej samowiedzy, a nawet tracą stopniowo pojęcie o czasie i przestrzeni, pograżając się w złudzeniach, będących dla nich jakby wstępem do rajskiej rozkoszy. Mata, twarda poduszka i krótka fajeczka, oto żywioły ich szczęścia, a zarazem zezwierzęcenia.

W pośrodku pokoju młody, piękny murzyn, którego cały majątek stanowi perkalowa koszula i laska, śpiewa z niesłychanym zapałem, ilustrując swą pieśń, namiętą pantomimą. Wymowne jego gesta, oraz przesadne słowa, obfitują w łudzące obietnice, całe zaś kryterium arabskich pojęć o szczęściu, zdaje się mieścić w śpiewanych przezeń pieśniach.

Nazajutrz od wschodu słońca zaczynamy przebiegać oazę, podobną do świątyni, o wysmukłych kolumnach i okrągłych kopułach, mieniących się wszystkimi odcieniami zieloności. Po pniach i mchu prześlizgują się promienie słońca, podobne do błyskawic, albo do lamp w świątyni.

Po za oazą roztaczają się niezmierzone, jałowe obszary. Jedynie skały plutoniczne w Alpach mogą dać jakiegokolwiek pojęcie o wstrząśnieniach, jakim musiała ulegać skorupa ziemska, poszarpana przez telluryczne kataklizmy i spalona słońcem. Światło dochodzi tutaj do takiego stopnia naprężenia, że oko znieść go nie może, najbliższe zaś przedmioty wydają się niekształtne lub znacznie powiększone. Mimowoli doznaje się takich samych optycznych złudzeń, jak o zmierzchu, droga wydaje się płaską i równą, a tymczasem nagle wpadam do przepaści, w oddali na piasku czerwieni się ogromna plama krwi, a zbliżywszy się tam, nic nie do-

strzegam, o kilka zaś kroków od oazy, ta ostatnia znika mi z oczu.

Powietrze jest tak rozrzedzone gorącem, że normalne prawidła widzenia najzupełniej się zmieniają, ja zaś tracę wszelkie pojęcie odległości. Droga tymczasem ciągnie się coraz dalej a dalej na powierzchni nagiej, piaszczystej i palącej. W oddali dostrzegam górę oblaną promieniami słońca, które wyglądają jak łuna pożaru. Nagle góra ta staje się czarną i pokrywa olbrzymim lasem, nęcącym zdala swą zielenią, na krawędzi zaś jego przebiegają rączę, zgrabniutki gazelle. Leczą po chwili las się cofa, góra rozplywa się w powietrzu, gazelle zaś znikają, jakby pod ziemią. Gdzie się kończy rzeczywistość a zaczyna się złudzenie, tego już zmęczone moje zmysły rozróżnić nie zdołają.

El Udiana oznacza miasto strumieni i składa się z olbrzymich, palmowych gajów, przetrzyniętych licznymi potokami. Niegdyś od Degaszu aż do Seddady, ciągnął się jeden nieprzerwany szereg przepysznych ogrodów, dziś w znacznej części zasypanych piaskiem. Tu i owdzie jednak napotyka się gęste zarośla oliwek, drzew pomarańczowych i rozmaitych kwitnących krzewów. Po nad krzewami temi, jak matki nad dziećmi, stoją wyniosłe palmy, kąpiąc swe wierzchołki w powodzi blasków słonecznych. Jakaś uroczysta cisza nadaje tym gajom powagę i spokój świątyni, przerywany tylko świergotem niezliczonych ptasząt.

Nazajutrz, to jest dnia 1 maja, musimy wrócić do Gafsy przez górę Szebika, której nagi wierzchołek poważnie i smutnie spogląda na dolinę. Makkadem daje nam przewodnika i przed południem puszcza się w drogę w kierunku Bir-Dzedidu, któryśmy ominęli, jadąc do El Udiany. I tym razem jednak Mohamed przekonywa Araba, że powinniśmy jechać przez Guifłę, Bir-Dzedid więc raz jeszcze pozostaje na stronie, my zaś musimy się obejść bez wieczerzy, oraz wygodnego noclegu. Przebycie Szebiki, cudowna perspektywa wyschłego, słonego jeziora, przykuwającego mimowoli moje spojrzenie, a wreszcie coraz to nowe zjawiska mirażu pochłonęły tak dalece moją uwagę, że nie zauważyłem zawczasu spisku uknutego przez naszych ludzi, kiedy zaś chciałem przeciw niemu zaprotestować, było już za późno. Znajdujemy się więc znowu na linii telegraficznej przy 402 słupie, u podnóża którego spędziliśmy noc tak okropną. Spostrzegamy zarazem, że przy 400 słupie istnieje studnia, ślady zaś niedawno zgasłego ogniska nasuwają nam domysł, że obozowali tu żołnierze, i że ognie przez nas widziane, pochodziły z ich obozu. Byliśmy więc tak blisko zbawczej przystani, nie wiedząc nawet o tem. Zresztą w pustyni podobne omyłki nader często się przytrafiają.

Aby i tym razem nie spać pod gołym niebem, postanawiamy dotrzeć przynajmniej do Bordż-Gurbata i przybywamy tam istotnie przed nadejściem nocy.



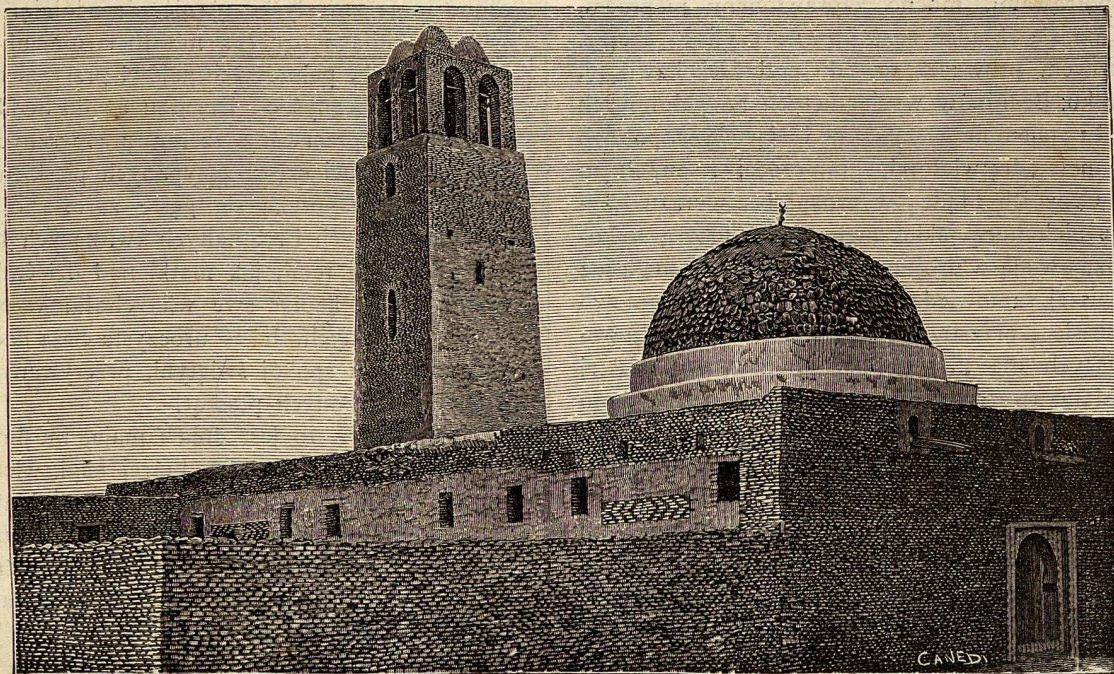
Bordż jest to czworokątny budynek otoczony murami i zamieszkiwany przez kilku żołnierzy, ale tak brudny, że byłoby daleko lepiej nocować na pustyni. Bądź co bądź mury zabezpieczają nas samych, tudzież nasze wierzchowce od hyen i szakali. Na nieszczęście, gdyśmy tam przybyli, zwykli mieszkańcy tego ustronia znajdowali się po za domem, prawdopodobnie w Gafsie, musieliśmy więc sami sobie radzić. Przedewszystkiem zaczęliśmy zbierać gałęzie, ale obawa *najahów* czyli węży, nie dozwoliła nam zrobić dostatecznego zapasu drzewa. Rozpalamy jednak ognisko w izbie, w której noc postanowiliśmy przepędzić i otuliwszy się w kołdry, próbujemy zasnąć. Noc jest ciemna i cicha, szakale milczą,

ale od czasu do czasu dolatuje nas przeciągły świsł, podobny do umówionego hasła. Myśląc, że to jakiś zbłąkany Arab wydaje te dźwięki, odpowiadam mu głośnym okrzykiem. Gwizdanie ustaje, ale nikt się nie zbliża i dopiero po upływie chwil kilku rozlega się tenże sam dźwięk ostry, posępny, żałosny.

— Zapewne ktoś nas woła — odzywam się głośno, zrywając się z miejsca.

— Ja także słyszałem — dodaje p. Hébrard, ale Mohamed, który właśnie się obudził, uspaka nas, mówiąc:

— Nie bójcie się, panowie, to wdowa Hadżala.



Tunetania. — Minaret nachylony i moskea w Tozeurze; podług fotografii. (Zob. str. 48).

— Jaka wdowa?

— Ta, która straciła brytanów czyli *slughi*.

— Co znowu za *slughi*?

— A, panowie nic nie wiecie, otóż było to tak:

Pewien wojownik arabski wyjeżdżając na wojnę, kazał przysiąc swą żonie, że podczas jego nieobecności, a nawet po jego śmierci pozostanie mu wierna.

— Ufam ci — rzekł do niej — w dowód zaś tego zaufania powierzam ci opiekę nad wiernymi *slughi*. Weź do ręki ich obrozę i nie puszczaj pod żadnym pozorem.

Wzruszona kobieta składa żadaną przysięgę, a dzielny wojownik ginie niebawem w walce z nieprzyjacielem. Po zgonie jego wdowa płacze, trzymając przy sobie brytanów, te zaś liżą jej twarz i ręce skropione rzewnymi łzami.

Ale pewnego dnia, gdy słońce piękniejm niż zwykle zajaśniało blaskiem, a cała natura w wiosenną przyoblekła się szatę, niepokieszona dotąd wdowa uczuła, że nie może już płakać, psy zaś zaczęły wyrwać na rozległą równinę. Wkrótce też Hadżala, obdarza wolnością wierne brytany, które jej przypominały męża, sama zaś wychodzi za mąż za drugiego, młodszego i piękniejszego wojownika. Gdy wreszcie umarła, pierwszy mąż z radością spotyka ją u wrót raju.

— Jakże się cieszę, żeśmy znowu razem! — woła w uniesieniu. — Ale gdzież są *slughi*?

Zawstydzona żona wraca więc znowu na ziemię, gdzie pod postacią małego świerszcza, błąka się po całych nocach, gwizdząc na stracone *slughi*, nadśledzuje i czeka, ale znajdzie je dopiero w dzień sądu ostatecznego.



Oto jaką legendę usnuły berberyjskie plemiona o pospolitym zresztą owadzie, znanym w języku uczonych pod nazwą *saxicola*.

O godzinie 2 po północy zaczyna świtać, my zaś niezwłocznie puszczamy się w drogę, aby o godzinie 9 rano przybyć do gościnnego domu komendanta Lefèvre, gdzie nie zabraknie nam wody, jedła i cienia, oraz gdzie oprócz uprzejmego gospodarza, powitają nas

z radością przyswojone przezeń gazelle, którym nasze papierosy podczas ostatniego pobytu w Gafsie bardzo się podobały.

W parę godzin później, kąpiel w gorących źródłach gafszańskich pokrzepiła nas daleko lepiej, niż niespokojny sen w murach Bordż-Gurbata. Dom pocziwego komendanta wydaje się nam drugą ojczyzną, przy śniadaniu zaś toczy się wesoła rozmowa o naszych przygodach. Nie dziwią one zresztą wcale komendanta i jego



Tunecjanina. — P. Hébrard w szalasie jednego z najbiedniejszych Arabów oazy Tozeur; podług fotografii.

towarzyszy, znających z własnego doświadczenia noclegi na piasku i straszne *sirocco*, które uważają jakby za integralną część podróży po pustyni. Jako człowiek rozsądny i doświadczony, komendant Lefèvre wysnuwa z naszych utrapień następujący wniosek.

— Przynajmniej — odzywa się — będziecie wiedzieli, że noclegi na piasku, brak wody, przymusowy post, błaganie się po pustyni, łudzące miraż, daremna walka z *sirocco* i upartymi przewodnikami, a wreszcie węże i skorpiony, są składowymi czynnikami tego, co się nazywa szumnie podróżą do Sahary. Współczuję doznany przez was cierpieniom, ale zaręczam, że kiedyś z przyjemnością wspominać je będziecie.

Tymczasem nadchodzi *baszamar* po resztę zapłaty, z miną tak łagodną i pokorną, że nawet niepodobna gniewać się na niego. Nazajutrz rano będę miał szczęście odprawić Mszę świętą w obozowej kaplicy. Tymczasem zastanawiamy się poważnie nad dalszym planem podróży, wiemy już bowiem z doświadczenia, że w krainie tej, gdzie z powodu gorąca, piasków i znacznych odległości, podróż pieszo jest niemal niemożliwą, a jazda konna wymaga nadzwyczaj silnego organizmu, wszelki, chociażby najędźniejszy powóz, należy do rzadkości. Pan Dumont, który nas pożegnał przy odejściu do Tozeuru, musiał już w arbie dojechać do Gabesu, polowanie zaś na kuropatwy, zające i czerwony, uprzy-



jemniło mu zapewne tą kilkadniową wycieczkę. Pan Hébrard, któremu wyprawa do El-Udiany dobrze się dała we znaki, nie chce nawet słyszeć o podróży konno, ale z kąd dostać wozu, to pytanie. Po zbadaniu i odrzuceniu mnóstwa wniosków, po większej części niewykonalnych, udajemy się po radę do pana komendanta, który depeszą obstalowuje dla nas w Gabesie lando, mające za dni parę czekać nas w El-Hafey. Ale jak dotrzeć do El-Hafey? Jeden z powozów miejskich pozabawiony jest pudła, a drugi kół, ze składowych zaś ich części dostawca wojskowy p. Viallon obiecuje zrobić powóz, nadający się jako tako do jazdy. Potem O. Hamard ofiarowuje nam konia, który jeszcze nigdy nie był w zaprzęgu, p. Viallon zaś ręczy za dzielność swego rumaka, któremu nieskończone oddaje pochwały.

— Trzeba jednak — dodaje — wyjechać o godzinie 4 rano. Ja będę powoził i najdalej o godzinie 4 popołudniu staniemy w El Hafey.

— Chciałbym jednak odprawić Mszę św., możemy więc mogli wyjechać o godzinie 5.

— Dobrze, niech i tak będzie, byle tylko nie później.

Rozchodzimy się więc, ucieszeni z naszej umowy, a p. Lefébvre, którego chcemy pożegnać, odzywa się z uśmiechem:

— Może jutro zobaczymy się znowu.

\* \* \*

Wstaję o godzinie trzeciej, o czwartej odprawiam Mszę św. i czekam na p. Viallon'a ze znakomitym powozem. Do szóstej jednak rano czekamy go na próżno, nie mogąc się zaś doczekać, idziemy do jego mieszkania i znajdujemy w łóżku szanownego dostawcę.

— Dzień teraz długi — mówi na swe usprawiedliwienie — nie należy więc męczyć się od samego rana.

O ósmej powóz jeszcze nie jest gotów, komendant zaś proponuje nam przechadzkę po tarasie swego domu, z którego widać całe miasto, malutką oazę Leila, przez którą mamy przejeżdżać i poszarpane stoki góry Dzebel-Orbata.

Wreszcie nadjeżdża p. Viallon w ogromnych butach i z długim batem. Dokoła nas tłoczą się gromadki ciekawych Arabów. Wyjeżdżamy wreszcie, lecz natychmiast pomiędzy naszymi końmi wynika nieporozumienie, jeden bowiem rwie się naprzód, a drugi się cofa.

— Zaraz będzie to lepiej — powtarza p. Viallon, nucąc zwrotkę jakiejś prowensalskiej piosnki.

Zamiast jednak obiecanego »lepiej«, powóz zbacza co chwilę to na prawo, to na lewo i przez chwil kilka lecimy co koń wyskoczy. aby następnie wlec się noga za nogą. Ulegając ciągłym wstrząśnieniom, musimy trzymać się poręczy, a zarazem czuwać nad szklannymi fotograficznymi kliszami, które brzęczą żałośnie.

W prześlicznej oazie El Guettar, leżącej u podnóża góry Orbata, koń O. Hamarda staje i nie chce ruszyć się z miejsca. Wszystkie nasze usiłowania rozbijają się nadaremnie o twarde jego serce, oraz twardszą jeszcze skórę. Musimy go więc odprządz, ja zaś dosiadam upartego rumaka, którego pozostawienie na drodze byłoby zgwałceniem najświętszych praw sprawiedliwości i wdzięczności. Ach, jakże ten koń, wczoraj tak upragniony, wydawał się dziś nieznośnym.

Wreszcie Opatrzność przychodzi nam z pomocą, zysłając jakiegoś arabskiego jeźdźcę, który podąży do Gafsy i podejmuje się za odpowiedni *bakczysz* odprowadzić uparte zwierzę do jego właściciela.

Znowu więc wszyscy trzej siadamy do powozu, ciągniętego już teraz przez jednego tylko konia, a pan Viallon wywija batem, wołając:

— Zobaczycie panowie, co to będzie za jazda!

Rzeczywiście koń jego puszcza się galopem.

— Taka jazda nie potrwa długo — ośmielam się zrobić uwagę. — Ściągnij pan nieco cugle swego konia.

— Nic to nie szkodzi, nie tak rychło, jakby się zdawało, zmęczy się mój rumak, bo czysta krew arabska płynie w jego żyłach.

W taki sposób ujeżdżamy przeszło trzy kilometry. Viallon uniesiony zapałem, wygłasza cały szereg pochwał na cześć czystej krwi arabskiej, a p. Hébrard mu potakuje. Powoli jednak droga staje się coraz bardziej nierówną, liczne zaś kałuże zmuszają nieraz do zbaczania na stronę i zygzakowatej jazdy, połączonej ze znacznym nakładem drogi. Wreszcie zmęczony koń staje i pomimo nalegania swego właściciela, objawia widoczną niechęć do dalszej podróży.

— To z braku przyzwyczajenia — usprawiedliwia się woźnica. My tymczasem wysiadamy z powozu i popychamy go własnymi rękami, a wreszcie musimy zaprządz się sami, aby dopomódz biednemu koniowi.

Tymczasem dokoła nas przepyszny roztacza się krajobraz. Widnokrąg zamykają góry o stokach prostopadłych jak ściana, oraz głębokich, tajemniczych wąwozów, w których się niegdyś ukrywali żołnierze Metellusa i Maryusza. Tu i owdzie zwaliska starożytnych grodów, lub wysmukłe pnie palmowe, dodają jeszcze uroku precudnej panoramie. Nie mamy jednak czasu zwracać na nią uwagi, gdyż musimy z największym wysiłkiem ciągnąć nieszczęsny powóz, a wśród tej pracy godziny upływają nam niepostrzeżenie, tak, że zdziwiłszy się niemal, kiedy noc zapadła. Przy mgłem światku gwiazd kroczymy jednak coraz dalej, a dalej, aż wreszcie na stoku dość wyniosłej góry, zmęczone muskuły wypowiadają nam posłuszeństwo. Trzeba się więc rezygnować na nocleg. Viallon przywiązuje swego konia do krzaku i kładzie się na ziemi, obiecując czuwać nad pakunkami.



Z odległych beduińskich *duarów* dolatuje szczerka nie psów, które w ciszy nocnej posępnie rozlega się echem. Co do mnie, to wraz z p. Hébrardem, chociaż upadając ze zmęczenia i chwiejąc się na nogach, postanawiamy dotrzeć do celu, trzymając się telegraficznej linii i o godzinie 2 po północy stajemy w El Hafey.

Dużo wszakże upłynęło czasu wprzód, niż zdołaliśmy zbudzić miejscowych strażników, którzy nas już wcale nie oczekiwali. Znaleźliśmy tam przeznaczony dla siebie powóz, a w nim woźnicę, przybyłego w wigilię tego dnia z Gabesu z pewnym młodym Maltańczykiem. Obaj dowiedziawszy się o tem co zaszło, puścili się niezwłocznie w drogę dla odszukania powozu z panem

Viallon'em i wrócili w parę godzin później, pogubiwszy połowę naszych rzeczy. Wszystkie jednak zgubione przedmioty odesłano nam w miesiąc później, fakt ten zaś zaznaczam dlatego, iż świadczy on nader korzystnie o uczciwości krajowców.

El Hafey posiada malutki hotel, wcale dobrze utrzymywany przez jakiegoś Francuza, którego właścicielka raczyła wstać, aby przyrządzić dla nas wieczerzę. Dowiedzieliśmy się od niej, że nie jeden już podróżny znalazł się w takim samym, jak my, położeniu, gdyż słynny koń Viallon'a zatrzymuje się zwykle na połowie drogi. Tak więc słynna *fides punica* nie wymarła wi-



Tunetania. — Najpiękniejszy dom w Tozeurze; podług fotografii. (Zob. str. 48).

dócznie z Kartagińczykami! Tunetania, to kraina obietnic, ale zarazem kraj, w którym, mówiąc po tutejszemu, istnieje największa odległość między ustami, a brzegiem pucharu.

Wprawdzie parę godzin snu po takim zmęczeniu nie zdołało przywrócić nam sił, nie mieliśmy jednak czasu na dłuższy wypoczynek, ponieważ do Gabesu pozostawało jeszcze 87 kilometrów drogi. Na szczęście mały murzynek, służący nam za woźnicę, zna dobrze okolice i swoje rzemiosło.

— Jeżeli pan chcesz nocować w Fedzedży — odzywa się do mnie — to trzeba już jechać.

— Dlaczegoż mamy nocować w Fedzedży? Miałeś nas przecie dziś jeszcze zawieść do Gabesu.

— Niepodobna, panie, konie są zmęczone, mamy zaś do przebycia wielkie, wielkie piaski.

— Masz słuszość, mój kochany, widzę, że lubisz swe konie i dbasz o nie należycie. Jeżeli jednak dziś wieczorem staniemy w Gabesie, to dostaniesz *bakczysz* (podarunek), w przeciwnym zaś razie, to jest, jeżeli zanocujemy w Fedzedży, obejdzie się bez *bakczyszu*.

— Dziękuję panu, jedziemy do Gabesu.

Uprzejma i żwawa gospoia przygotowuje tymczasem dla nas rozmaite zapasy żywności i wręcza je nam zawinięte starannie w papierze. Dziękujemy więc za jej uprzejmość, ściskamy za rękę właściciela hotelu, podczas gdy Maltańczyk przywiązuje nasze walizki, mały zaś murzynek przemawia poufale do koni, zachęcając je głaskaniem do żwawego biegu.

Droga rzeczywiście jest piaszczystą, ale przed nami roztacza się niezmierna perspektywa, dochodząca aż do



brzegu morza. Tu i owdzie ogromne, błyszczące plamy zdradzają istnienie wyschłych, słonych jezior. Jedziemy szybko i o godzinie 11 stajemy w Fedżdży, gdzie następuje śniadanie na łące, ozdobionej różnobarwnymi kwiatami, w miejscowości coraz to nowe dla oka przedstawiającej niespodzianki. W pobliżu istnieje kilkadziesiąt studzien, które wybornej dostarczają wody. Dalej nieco na równinie obozuje kilka plemion berberyjskich koczowników.

Można się też tam napatrzeć do woli rozmaitym scenom, prawdziwie biblijny noszącym charakter. Kobiety czerpią wodę, aby nią napoić wielbłądy, owce i kozy, jeźdźcy zaś arabscy wraz ze spahisami ubranymi czerwono lub niebiesko, urządzają konne wyścigi, których niestety, niema kto podziwiać. Kilkadziesiąt rozmaitych czworonożnych zwierząt, pasących się spokojnie na trawie, dopełnia całości obrazu, wobec zaś tego obozu, godnego zaiste patriarchalnych czasów, lando nasze wygląda, jak rażący anachronizm.

Pozostaje nam czternaście jeszcze kilometrów do przebycia, poczem murzynek przestanie dręczyć swoje konie. Wreszcie spostrzegamy w oddali gabeską oazę, przejeżdżamy kilkanaście wspaniałych ogrodów, a za nimi rzekę Gabes, na której brzegach gromadki dzieci, oraz Arabek myjących wełnę, tworzą obrazek nie pozbawiony miejscowego kolorytu. Rano i wieczorem brzegi tej rzeki stają się punktem zbornym, gdzie się schodzi cała ludność arabska dla załatwienia swych interesów, lub przyjacielskiej pogadanki.

Samo miasto Gabes uderza swą oryginalnością i malowniczością położenia. Jakież było nasze zdziwienie, gdy wśród rodziny Sudańczyków, obozującej na przedmieściu, spostrzegliśmy p. Dumont'a, którego nasze przybycie niezmiernie ucieszyło. Dzieci nawet murzyńskie zamiast kryć się i uciekać, witają nas uprzejmie i zdają się bardzo zadowolone z tego, że wraz z malowniczym płóciennym namiotem zostały przeniesione na fotograficzną kliszę.

Wielce też nas ucieszyło w Gabesie, czyli starożytnej Takapie, spotkanie z księdzem Ravul, kapelanem wojskowym, oraz kilkoma innymi Europejczykami, których rozmowa dozwoliła nam zapomnieć o przygodach, doznanych w El-Udianie i Tozeurze.

## VI.

Gabes nie jest miastem jednolitem, ale raczej połączeniem kilku wsi, oddzielonych jedne od drugich kawałkami uprawnego pola, lub rozległymi ogrodami. Pomiędzy miastem europejskim, leżącym na wybrzeżu i mającym proste, szerokie ulice a przedmieściami Dżara, Menzel, Chenini, Sidi-Bul-Baba i Bu-Chemma, ogromna istnieje różnica. Podczas gdy dzielnica europejska wystawiona jest na największy skwar słoneczny, połączony

z olśniewającym światłem, przedmieścia kryją się wśród zieleni, pod uroczym sklepieniem palm, a zarazem obfitują w ogrody, strumienie, oraz krzywe wązkie uliczki, przetrzniete arkadami, lub krytymi galeryami, gdzie działanie słońca i powiew *simumu* traci zabójczą swą siłę.

Ani więc powabu czysto europejskiego miasta, ani oryginalności miast wschodnich, Gabes nie posiada. Jestto zarazem port, rynek i kolonia rolnicza, sama zaś jego nazwa pierwotna, Takapa, oznaczała ogrody.

Z Takapy, odrzuciwszy partykułę grecką *τα*, zrobiono *καπα*, potem zaś Kabes, Gabes, podobnie jak Kapsę zamieniono na Gafę.

W starożytności, miasto to stanowiło główny skład płodów małej Syrti, a z portu jego wywożono wszystkie towary, przeznaczone dla południowej Tunetanii; tu także znajdowało się główne ognisko miejscowego handlu. Dziś również miasto to odznacza się ożywionym ruchem handlowym, kupcy zaś, a zwłaszcza właściciele sklepów korzennych, mają kilkaset tysięcy franków rocznego obrotu.

Dwoma najgłówniejszemi i najbliższymi od morza położonemi dzielnicami arabskiego miasta, są: Dżara i Menzel, leżące na prawym brzegu rzeki Gabes. Ogólna cyfra ich ludności wynosi 10.000 mieszkańców. Dawniej przedmieścia te stanowiły dwa odrębne miasta, które ciągnęły ze sobą toczyły walkę i dopiero od chwili okupacji francuskiej, zaczęły cieszyć się spokojem. Odtąd też przekupnie mogą wynosić na rynek stoły z rozmaitemi towarami, których żaden niespodziewany najjeźdźca już im nie wydrze przemocą.

Rynek na przedmieściu Dżara, otacza elegancka kolumnada, nad którą się kołyszają wiotkie i urocze palmowe gałęzie. Od szóstej do dziewiątej rano przedstawia on nader ożywiony widok i roi się tłumem arabskich koczowników, przybyłych na targ z wielbłądami, mułami, osłami, oraz rozmaitemi płodami, uprawianymi w oazach.

W chrześcijańskim okresie dziejów Tunetanii, biskup Takapy — *Episcopus Tacapitanus*, zajmował nader zaszczytne stanowisko w rządzie prałatów afrykańskiej prowincji. Nadto El Bekri w XI, Edrizi we XII, a Leon afrykański w XVI stuleciu, mówią o Gabesie, jako o wielkiem mieście z twierdzą i przedmieściami, otoczonemi wysokim murem, oraz rowem, który w razie potrzeby można było napełnić wodą. Dziwi mię tylko, iż ze świetnej tej przeszłości tak mało pozostało śladów. Oprócz kolumn, kapiteli i odłamów mozaiki, nic godnego uwagi w Gabesie się nie znajduje.

Szczęśliwszym może byłby archeolog, któryby zaczął kopać ziemię dla odszukania w jej łonie zabytków przeszłości. Wszystkie niemal domy na przedmieściach Dżara i Menzel, stanowią nader ciekawe architektoniczne okazy, składają się bowiem z różnokolorowych kamieni, wyjętych ze starożytnych gmachów i położonych



luźnie jedne na drugich bez cementu lub jakiegokolwiek względu na zachowanie linii poziomej. Na nietrwałych tych ścianach wspiera się również nietrwały dach z liści i gałęzi palmowych, we wnętrzu zaś mieszkań ogromne odłamy starożytnych marmurów służą za stoły, ławy i krzesła.

O parę kilometrów od Menzelu leży wioseczka Sidi-Bul-baba, nosząca nazwę jednego z ulubieńców proroka, na przeciwnym brzegu rzeki wylania się z zielonego kobierca rozległa wieś Chenini, dalej zaś nieco na północ w pobliżu drogi do gabeskiej oazy, mniejsza nieco od niej Bu-Chemma.

Ludność Chenini jest berberyjskiego pochodzenia, ulice zaś jej podobne są do tych, jakieśmy już widzieli w Zaghuanie i Takrunie, zamieszkałych również przez Berberów. W danej chwili wieś ta liczy od 1200 do 1300 mieszkańców, pobyt zaś w niej jest daleko przyjemniejszym, niż w europejskiej dzielnicy, zbudowanej na palącym piasku wybrzeża, gdzie obok poczty, trybunału i innych gmachów publicznych, przekupnie włoscy i maltańscy umieszczają swe sklepiki. Wydaje się to tem dziwniejszem, że możnaby tam zbudować miasto, odpowiadające daleko lepiej wymaganiom higieny, nie brakuje bowiem ani gruntu, ani wody, ani słońca. Dość byłoby w tym celu wysadzić ulice eukaliptusami (trojeść), założyć przed każdym domem ogródek, słowem rozpowszechnić w mieście cień i zieloność, jak to Arabowie zrobili w swych wioskach.

Nazajutrz po przybyciu, X. Raoul ofiaruje mi się łaskawie za przewodnika i przebiegamy z nim razem ogrody Dżary oraz Menzelu, gdzie jakaś rodzina arabska zatrzymuje nas, zapraszając na kawę. Tożsamo zdarza się we wszystkich niemal wioskach, które zwie-

dzamy z księdzem kapłanem, a nawet Arabowie proszą nas uprzejmie, abyśmy odwiedzili chore dziecko i mężczyznę, który złamał nogę. Kobiety przypatrują się nam z ciekawością, pełną głębokiego szacunku. Nie noszą one welonu, na szyi zaś mają mnóstwo naszyjników, łańcuszków i amuletów. Zauważyłem też, że

w domu nie mają one tej prawdziwie samej lęklivosti, która w mieście je cechuje, a nawet z naiwną, dziecięcą radością przyjmują łakocie, rozdawane im przez X. Raoul'a, powtarzając jego słowa, jak religijne formuły.

Wnętrze domów arabskich, zamkniętych niemal zawsze dla cudzoziemców, jest bardzo nędzne i pod względem wygod stoi znacznie niżej od mieszkania najuboższego europejskiego wieśniaka.

Wązki, ciemny korytarz, wychodzący na ulicę, wiedzie do pokoju, w którym gospodarz domu przyjmuje swych gości, a zarazem na dziedziniec, wypełniony zwykle kobietami, dziećmi, wołami, krowami, koźmi, kozami, owcami, kurami i psami, które we wzorowej żyją ze sobą zgodzie. Umeblowanie pokoiów leżących na pierwszym piętrze, stanowią kufry nabijane gwoździami, ławy, kobierce, strzelby, szable, ostrogi i siódła.

Niebawem szeik wychodzi na nasze spotkanie i wita nas z głębokim szacunkiem, mówiąc, że odwiedziny dwóch chrześcijańskich marabutów, wielki przynoszą mu zaszczyt. Po chwili służący podaje nam zimne mięsiwo, szeik zaś rozdziela je palcami i składa na dywan, na którym siedzimy ze skrzyżowanymi nogami, przeznaczoną dla każdego porcyę. Potem w temże samem naczyniu, w którym było mięsiwo, przynoszą nam za napój świeże, kwaśne mleko. Ponieważ wszelka odmowa co do jadła byłaby obrazą poczcziwych tych ludzi,



Tunetania. — Strumyk i wejście do oazy Tozeur; podług fotografii.



nakazuję więc milczenie żołądkowi i zajadam mięso, dopomagając sobie palcami, poczem zanurzam usta w mleku, którego nie lubię.

Szeik jest pięknym mężczyzną o owalnej twarzy, łagodnych i inteligentnych oczach, jasnej, różowej cerze, delikatnych rękach i dystygowanym sposobie obejścia. Mówi on poważnie, uzupełniając swe słowa uśmiechem, albo wdzięcznym gestem i wygląda raczej na Greka, niżeli na Araba. Patrząc nań, myślałem mimowoli, że mam przed sobą potomka pierwotnych kolonistów, wysłanych przez wyrocznie delficką do Barki, oraz na wyspę Zotofagów czyli dzisiejszą Dżerbę, a którzy następnie osiedlili się na brzegach Trytońskiego jeziora. »Domy ich — pisze Herodot — zrobione były z soli«. Sól ta i dziś jeszcze pokrywa łożyska Szottów, czyli wyschłych jezior, cała zaś dolina El Hamma iskrzy się od jej kryształów.

Podług nowożytnych uczonych, niebieskie oczy i jasne włosy naszego szeika, każą go zaliczać do Berberów; ale jakim jest pochodzenie Berberów, z kądem i kiedy przybyli, tego nikt nam nie powie.

Co do mnie, to dochodzę do przekonania, że jedna z autochtonicznych ras tunetańskich przybyła z krainy Chanaan, druga zaś z Europy, a Berberowie jako rasa powstała z połączenia dwóch poprzednich, noszą pewne cechy jak jednej tak drugiej. Jednocześnie przekonuję się także, jak bardzo mylą się ci, którzy twierdzą, że wśród muzułmańskiej ludności katolicyzm nie znajduje i nie znajdzie prozelitów.

— Nie jesteśmy już wyznawcami islamu — mówi szeik do X. Raoul'a, bo oddawna przestaliśmy wierzyć w zasady Koranu. Chociaż jednak czytaliśmy katechizm, który umieli nasi przodkowie, nie jesteśmy jeszcze dotąd chrześcijanami. Użyj więc swego wpływu, aby wielki Babus kartagiński (kardynał Lavigerie) przysłał nam kapłana.

— Kardynał niema tak dużo księży, aby ich wysłać dla jednej rodziny.

— Ależ nie ja jeden pragnę zostać chrześcijaninem, owszem, mogę ręczyć, że przynajmniej trzystu ojców rodzin pospieszyłoby na nauki chrześcijańskiego kapłana.

Wymowne spojrzenie i gest pełen zapału, nie pozwalają wątpić o szczerości słów szeika. Dwaj milczący słuchacze, którzy, jak się zdaje, podzielają jego przekonania, odchodzą na stronę, rozmawiając ze smutkiem o odpowiedzi kapłana. W parę tygodni później spotkałem w Tunisie trzech wybitniejszych mieszkańców tejże samej wioski, przybyłych do kardynała z prośbą o przysłanie im misyjnarza.

Czy zabiegi te mają cel polityczny, czy też wpływają ze szczerego pragnienia przyjęcia Chrystyanizmu, przyszłość to dopiero wykaże. Nie należy jednak zapominać, że muzułmanie prześladują zawzięcie tych współ-

wyznawców, którzy w bliższe z chrześcijanami wchodzą stosunki, lub toczą religijne spory. Wiem nawet, że z tego powodu mieszkańcy El Hammy, wycierpieli potem dużo przykrości ze strony sąsiadów.

Gdyby religia katolicka pozyskała dla siebie choć małą część berberyjskiej rasy, wówczas liczne wioski nawróciłyby się niebawem na wiarę przodków. Należy bowiem wiedzieć, że Berberowie przyjęli islam nie z przekonania, ale tylko z musu. Wierni dawnym nawykniom i tradycjom, pracują oni, żyją w rodzinie na stopie zupełnej równości, naradzają się wspólnie nad interesami, zachowują niezwykłą czystość obyczajów, we wszystkich zaś stosunkach wewnętrznych i zewnętrznych, opierają się na pisanym tekście Kanunu. Sam wreszcie wyraz ten świadczy, iż zawarte w nim prawa wiążą się ściśle z przepisami pierwotnego Kościoła.

Wielu Berberów nosi na czole krzyż, wytatuowany barwą niebieską, jako ostatnie świadectwo swego chrześcijańskiego pochodzenia, pod skórą zaś muzułmanina, zbydlęconego dziewięcioma wiekami niewoli, tętni sumienie dawnego syna prawdziwego Kościoła.

(C. d. n.).

## Działalność PP. Dominikanek w Afryce Południowej.

Oddawna już córki św. Dominika rozwijają na czarnym kontynencie dobroczynną i pełną poświęcenia działalność. Sądźmy więc, że czytelnikom naszym sprawimy przyjemność, kreśląc parę szczegółów o wynikach osiągniętych przez gorliwe zakonnice w odległych południowo-afrykańskich krajach<sup>1)</sup>.

Rzućmy najprzód okiem na King-Williams-Town, główną rezydencję Dominikanek w Afryce południowej. Wzniosłe poświęcenie i szlachetna gorliwość Sióstr obudziła we wielu chrześcijańskich dziewczinach niezwykły zapał dla misyjnej tej pracy, wraz z pragnieniem wzięcia w niej udziału. Dzięki też temu, ilość zakonnic coraz bardziej stopniowo się zwiększa.

Dnia 16 stycznia 1892 r. piętnaście nowicyuszek złożyło śluby w King-Williams-Town, dziewięć zaś nowych kandydatek otrzymało szatę zakonną św. Dominika. Piękna i wzniosła ta ceremonia odbyła się pod przewodnictwem X. biskupa Dra Jakóba Dawida Richards'a. Dnia 29 czerwca 1892 r. przewodniczył takiej samej uroczystości X. biskup koadjutor Dr Piotr Strobino i wówczas siedm Sióstr złożyło profesję, kilka

<sup>1)</sup> Przełożony dominikańskiego domu misyjnego w Gracu, W. O. Mikołaj Putzer, skreślił w języku niemieckim niniejsze sprawozdanie, na podstawie oryginalnych listów PP. Dominikanek z Afryki, zamieścił takowe w *Dominicus Calender* z r. 1894 i pozwolił nam na zamieszczenie go w polskim tłumaczeniu w *Missyach katolickich*.



zaś kandydatek zakonne przywdziało szaty. Później dnia 6 stycznia 1893 r. odbyły się obłóczyny dwóch nowych postulantek. Najpiękniejszą jednak uroczystością dla Sióstr z King-Williams-Town był dzień 13 grudnia 1892 r., w tym dniu bowiem przybyło z Europy dwadzieścia jeden nowych kandydatek, wykształconych w dominikańskich klasztorach św. Urszuli w Augsburgu i Królowej Różańca św. w Wettenhausen. Chociaż pomiędzy chłodnym klimatem europejskim a gorącą zwrotnikową strefą wielka istnieje różnica, atoli nowo przybyłe pracownice w winnicy Pańskiej, ciesząc się dotychczas jak najlepszym zdrowiem i tak dalece zamięłowały tryb missyjnego życia, że za pierwotną swoją ojczyznę niemal zupełnie przestały już tęsknić.

Kilka kandydatek przeznaczonych na nauczycielki w szkole missyjnej, oddało się z zapałem nauce angielskiego języka, reszta zaś pomaga sobie nawzajem w pracy na polu, w ogrodzie, domu i kuchni, tak, że każdy członek zakonnego zgromadzenia przyczynia się do rozwoju całości. Wszystkim przyświeca wzniosła i szlachetna idea służenia Bogu na obcej ziemi i dlatego też zakonnice z radością opuszczają ojczyznę ziemską, aby tam raźniej i gorliwiej do niebieskiej dążyć ojczyzny.

W przeciągu roku 1892, skończyły trzy zakonnice ziemską swoją pielgrzymkę, aby otrzymać w niebie nagrodę za wytrwałość w swym powołaniu, która dla pozostałych ich towarzyszek, nader zachęcający stanowi przykład.

Dom Sióstr w King-Williams-Town jest prawdziwym przytuliskiem dla biednych dzieci i opuszczonych sierót. Każdego niemal tygodnia pukają do bramy klasztornej coraz to nowe nieszczęśliwe istoty, żadna zaś z nich odmownej nie otrzymuje odpowiedzi. Czcigodna matka Maurycya Tiefenböck, która przez czas długi była przełożoną klasztoru, mawiała zawsze do swych zakonnic: »Nie odrzucajcie nigdy ubogich, a przedewszystkiem opiekujcie się dziećmi i sierotami, gdyż za nie sam Pan Bóg wam zapłaci«.

Dzięki tak szlachetnemu usposobieniu, widoczne i obfite błogosławieństwo Boże towarzyszy wszystkim pracom córek św. Dominika na afrykańskim lądzie.

W grudniu 1892 r. do bramy klasztornej zapukała pewnego razu jakaś młoda murzynka z dwuletnią dziewczynką na ręku i usilnie błagała zakonnice, aby przyjęły jej dziecię. Przed odejściem poełowała jeszcze tkliwie ukochaną swą córeczkę, poczem pozostawiła ją na opiece Sióstr, które pokochały serdecznie biedne murzyńskie dziewczętko i zaczęły je przygotowywać do Chrztu św. Dnia 8 grudnia tegoż samego roku siedmnaście dzieci przystąpiło po raz pierwszy w kościele klasztornym do Stołu Pańskiego.

Podczas uroczystości Zielonych Świąt 1893 r. jedenaście dzieci pogańskich wraz z pewną dorosłą katechumenką otrzymało Chrzest św. Tak piękne uroczy-

stości stanowią dla Sióstr najcenniejszą nagrodę za prace ich i ofiary, radość zaś opromieniająca twarze uszczęśliwionych dzieci, budzi w sercach zakonnic nowy zapał do świętego swego powołania.

Od sierpnia aż do końca grudnia 1892 r. trwała w King-Williams-Town missya ludowa, urządzona przez dwóch Ojców z Zakonu św. Ignacego, przybyłych z Dublina. Wywarła ona wpływ zbawienny na usposobienie miejscowej ludności. Zarówno w Anglii, jak i we wszystkich wielkobrytańskich koloniach pewien wstrętny nałóg prowadzi do zguby wszystkie niższe warstwy ludności. Nałogiem tym jest pijaństwo, cechujące nie tylko mężczyzn, ale nawet kobiety. Dlatego też zakonnice dokładają wszelkich możliwych starań w celu położenia tamy dalszemu szerzeniu się tego występku.

Podczas missyi O. Cullen radził wszystkim zobowiązać się uroczyście do powstrzymania się nadal od wszelkich trunków, jak na przykład wina, piwa i innych gorących napoi. Pragnąc zaś przebłagać Boga za to, iż tylu pijaków obraża Go grzechami, wielu zakonników, a nawet całe zgromadzenie zakonne w obrębie Wielkiej Brytanii, złożyły również tę samą obietnicę, chociaż i poprzednio wino lub piwo nader rzadko na ich stole się ukazywało. Za przykładem tym poszły również i zakonnice z King-Williams-Townu, które podczas missyi odprawionej pod kierunkiem wyżej wymienionych Ojców wraz z przełożoną, oraz najstarszymi chłopcami i dziewczętami, przyrzekły uroczyście nie wziąć do ust przez całe życie ani kropli jakiegokolwiek trunku. Postanowienie to na pierwszy rzut oka mogłoby się wydać zbyt sztywnym i przesadnym, atoli tak bardzo rozpowszechniony występki, grożący zgubą całej ludności, wymaga niezwyklej i stanowczej reakcji.

W każdym też razie takie ofiary ze strony Sióstr i ich wychowanków, świadczą wymownie, że dobro ludu bardzo zakonnicom leży na sercu. Może więc w ten sposób uda się kiedyś zwrócić znowu ludność na drogę moralności i cnoty. Należy też przyznać, że nawet drobne dzieci wychodzące z zakładów Sióstr, wywierają wpływ dodatni na swoich rodaków. Można przeto mieć nadzieję, że dobre ziarno wszędzie po trosze rozsiewane, kiedyś piękne i obfite przyniesie plony.

Szkoły Sióstr nader szybkim krokiem postępują na drodze swego rozwoju. Na rocznym egzaminie chłopcy i dziewczęta ze szkoły missyjnej, utrzymywanej przez zakonnice, umiały wywiązać się tak dobrze ze swego zadania, że nawet inspektor rządowy, który każde dziecię z osobna egzaminował, w sprawozdaniu o szkole klasztornej, przesłał do generalnego dyrektora szkół w Kaptown i ogłoszonym drukiem, z wielkiem dla Dominikanek wyraził się uznaniem.

Dnia 8 listopada 1892 r. nowy dyrektor szkół zwiedził nawet osobiście zakłady Sióstr, które go pod każdym względem zadowolniły tak dalece, że przyrzekł



zakonnicom popierać ich szkoły o ile możliwości. Uczennice Sióstr celują zresztą nietylko w naukach, ale także w robotach ręcznych, rysunku i malarstwie.

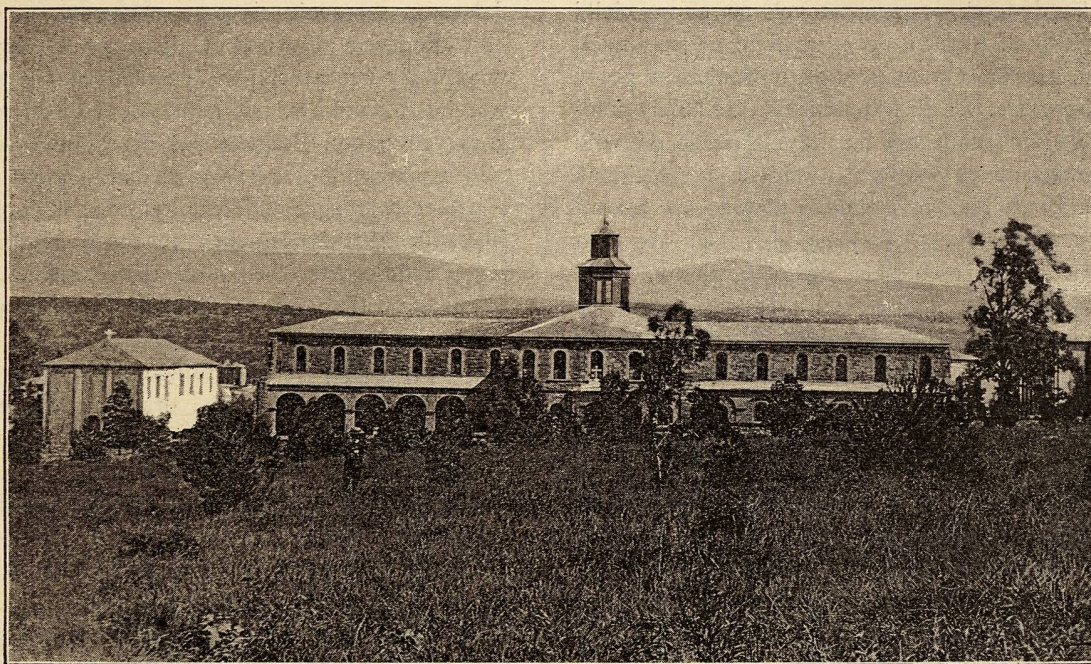
Na wystawie międzynarodowej w Kimberleju, która trwała od września aż do końca grudnia 1892 roku, największe pochwały dostały się w udziale pracom Sióstr i uczennic klasztornych, za pewien zaś rysunek wykonany piórem, a przedstawiający podróżnika afrykańskiego Backer'a, ściganego przez lwa, wyznaczono trzy funty szterlingów nagrody.

Łatwo się domyśleć, że zacnym zakonnicom nie zbywa bynajmniej na trudach i kłopotach. Atoli naglące potrzeby biednego ludu, pogrążonego dotąd

jeszcze w ciemnościach poganizmu, skłaniają szlachetne córki św. Dominika do coraz to nowych przedsięwzięć i ofiar.

Tak na przykład, w r. 1891 ówczesna Matka Przełożona Maurycya Tiefenböck nabyła dużą, piękną kolonię, odległą od King-Williams-Town o 2½ godziny drogi i założyła w niej nową filię pod nazwą fermy klasztornej Najsw. Serca Pana Jezusa nad rzeką Izelą. Przedewszystkiem zabrano się do budowy mieszkań dla Sióstr i dziatwy szkolnej, poczem zaczęto budować kościół klasztorny, który już niebawem będzie wykończony.

Obecnie klasztorna ta kolonia liczy 10 Sióstr i 38 nowicyszek. Nowy zakład pozostaje pod kierunkiem



Afryka Południowa. — Klasztor PP. Dominikanek w King-Williams-Town. (Zob. str. 75).

Matki Maurycyi, będącej obecnie wice-przełożoną w King-Williams-Town, ale przebywającej niemal ciągle w świeżo założonej filii, w której gorliwą rozwija działalność. Cel nowej fermy misyjnej jest trojaki, prace zaś zostały tak umiejętnie podzielone pomiędzy Siostry, że każda pracując w swoim zakresie, przyczynia się do osiągnięcia ogólnego zadania.

Najprzód personal nowej fermy trudni się kształceniem ubogiej dziatwy niemieckiego, angielskiego i holenderskiego pochodzenia, zamieszkalej nad rzeką Buffalo, jak również dzieci kafryjskich i hottentockich z przeciwnego brzegu tej rzeki. Powtóre świeżo założona kolonia ma dostarczyć środków utrzymania nietylko własnym mieszkankom, ale także personalowi misyjnemu w King-Williams-Town, złożonemu przeszło z 300 osób. Cel ten musi zostać osiągnięty za pomocą uprawy roli,

oraz zakładania winnic, ogrodów warzywnych i owocowych, gajów pomarańczowych, cytrynowych, jak również zasiewania lasów. Ze zbóż najbardziej uprawiana jest pszenica, jęczmień, owies i *mealies*. Ostatnie zniwo w lutym roku ubiegłego, przyniosło Siostrom około stu worków pszenicy. Jest to nader wymowne świadectwo pracowitości i wytrwałości Zakonnicy, gdyż większa część pola po raz pierwszy dopiero została uprawiona, w wielu zaś miejscach musiano poprzednio usuwać ogromne głazy, lub oczyszczać przestrzeń z cierni i krzewów. Atoli dotychczasowe plony nie wystarczają jeszcze na wyżywienie całego misyjnego domu.

Prawdziwą klęską, niszczącą tam niejednokrotnie owoce gorliwej pracy, bywa szarańcza, która częstokroć wyrządza tak wielkie spustoszenia, że w całej okolicy na wagę złota nie możnaby dostać ani kawałka chleba.



Roje szarańczy przeciągają zwykle po nad ziemią jak olbrzymia chmura i nie tylko, gdzie się spuszczą, pożerają wszystko, co znajdują na polu, ale nawet niekiedy tamują komunikację na liniach kolei żelaznej. Trzecim celem nowej osady misyjnej jest założenie przytuliska dla starych i schorzałych misjonarzy, w którym gorliwi apostołscy pracownicy znaleźliby na starość pod troskliwą opieką Sióstr miłe i spokojne schronienie.

Dnia 19 marca 1893 r. umarł w tej osadzie pierwszy kapłan, należący do misyi. Był to czcigodny X. Jakób O'Connel, który przez 55 lat pracował w południowej Afryce, jako misjonarz, ostatnie zaś 15 miesięcy swego życia spędził w tem przytulisku, otoczony najtroskliwszą

pieczęią ze strony zakonnic. Umarł on spokojną i prawdziwie chrześcijańską śmiercią w 81 roku życia, wspomnienie jednak jego prac i zasług, nie zeszyły z nim razem do grobu, owszem utrzyma się długo w pamięci krajowców, którzy mu bardzo wiele zawdzięczają do brego.

Dnia 4 maja 1893 r., gdy budowa nowego klasztoru i kościoła zbliżała się już ku końcowi, straszny kataklizm przyrody zakłócił nagle spokój biednych zakonnic. Oto w tym dniu w King-Williams-Town i całej okolicy zerwał się gwałtowny uragan, który zrywał dachy, obalał domy, a nawet wyrwał z korzeniami ogromne drzewa kauczukowe. Nowa kolonia Sióstr również znaczne poniosła szkody. Z niezwykle szumem



Afryka Południowa. — Siostry: Amika, Franciszka, Patricia, Konstancja, Ignacya, z III-go Zakonu św. Dominika, oddające się obsłudze chorych na febrę w Mac-loutsi nad Zambezą; podług fotografii.

i łoskotem, podobnym do odgłosu grzmotu, zerwała burza z kościoła i klasztoru dach cynkowy i uniosła go daleko. Nie pozostawało więc nic innego, jak na nowo zabrać się do pracy. Szczęściem nikt podczas burzy nie poniósł żadnego szwanku, choć wiotkie szafasy, w których ubogie dzieci i sieroty mieszkaly prowizorycznie i odbywały lekcye, również uległy zniszczeniu.

Cały ten okropny dzień spędziły Siostry ze swemi wychowankami pod otwartym niebem. Wreszcie ku wieczorowi uragan ucichł stopniowo, dokonawszy dzieła zniszczenia. Bądź co bądź, tak dotkliwe próby i trudności nie osłabiają wcale gorliwości i przedsiębiorczości Sióstr, które ufając w Opatrzność Bożą, czuwającą nad nieszczęśliwym afrykańskim ludem, zakładają coraz to nowe schronienia dla biednych i opuszczonych.

W ostatnich czasach Siostry zrobiły pierwszy krok do założenia misyi w pośród Kafrów w pobliżu King-

Williams-Town, gdyż dnia 8 maja 1893 r. nabyły ogromną kolonię za cenę 1450 funtów szterlingów. Nowa ta ferma leży na prawym brzegu rzeki Buffalo, naprzeciw założonej już poprzednio osady klasztornej i nadaje się wybornie na rezydencję misyjną pomiędzy poganami. Po urządzeniu nowej osady i osiedleniu się tamże, Siostry będą mogły uczynić zadość usilnym prośbom murzynów, którzy codziennie napływają do ich świątyni, oświadczając chęć nawrócenia się na Chrystyanizm. Przedewszystkiem zaś zamierzają zakonnice przyjmować do tej misyi biedne murzyńskie dzieci, wychowywać je po chrześcijańsku i założyć stopniowo chrześcijańską kafryjską gminę, wydzierżawiając ubogim rodzinom za niewielką stosunkowo kwotę pewne obszary gruntu. Na gruncie tym biedni murzyni będą mogli zbudować sobie chaty i utrzymywać się z uprawy soli, a zarazem uczęszczać na lekcye katechizmu, wykładane przez



missyjonarzy lub zakonnice, słuchać codziennie Mszy św., przystępować do Sakramentów, słowem wieść życie prawdziwie chrześcijańskie.

Chwalebne to przedsięwzięcie zyskało zupełne uznanie X. biskupa Ricards'a, który z radością udzielił Siostron ojcowskiego błogosławieństwa na tę nową drogę apostołskiej pracy. Tak niezwykła przedsiębiorczość zakonnic mogłaby mylnie wprowadzić czytelników na domysł, że rozporządzają one olbrzymiami materialnymi środkami. Atoli wcale tak nie jest, jedyne bowiem bogactwo Sióstr stanowi niezachwiana ufność w miłosierdzie Boże.

Siostra Eleonora, której listy dostarczyły nam materiały do skreślenia niniejszego sprawozdania, w następujący wyraża się sposób:

»Z początku nam, słabym ludziom, nowe to przedsięwzięcie wydawało się niemożliwym do wykonania. Dzięki jednak widocznemu zrządzeniu Boskiej Opatrzności, zaproponowano nam kupno pięknej tej kolonii pod nader przystępnymi warunkami. Nie wątpimy więc, że Pan Bóg raczy nam zesłać kwotę niezbędną do jej nabycia, chociaż obecnie nie mamy ani grosza. W tak trudnych okolicznościach szukamy zwykle ulgi i pociechy w modlitwie, błagając bez przerwy świętą Rodzinę, aby natchnęła szlachetne serca litością dla biednych białych i czarnych mieszkańców Afryki południowej, iżby za pomocą wspaniałomyślnych jałmużn dopomogły nam spłacić ogromne długi i powołać do życia nową missyę kafryjską«.

Od lat kilku Córki św. Dominika posiadają też klasztor w East-London, dzięki zaś szybkiemu rozwojowi tego miasta, obecnie jeszcze mała missya dominikańska zdaje się piękną mieć przed sobą przyszłość. Miasto East-London leży przy samem ujściu rzeki Buffalo do Indyjskiego oceanu. Oddawna już starano się oczyścić łożysko tej rzeki z nagromadzonego tam mułu, ażeby w ten sposób uczynić ją spławną. Przedsięwzięcie to uwieńczyło się powodzeniem tak, że dzisiaj na ogromnej tej rzece żeglują już parowce i wojenne okręta, co przyczyniło się niezmiernie do rozwoju handlu i wzrostu ludności.

Dotychczas niewielki kościółek Sióstr służył zarazem za kościół parafialny, teraz atoli okazał się już zbyt szczupłym dla coraz liczniej napływającej katolickiej ludności i dlatego też X. biskup Ricards dokłada obecnie jak najgorliwszych starań w celu zbudowania nowej parafialnej świątyni. Nie łatwe to zadanie, gdyż katolicy w East-London są po większej części ubodzy, bądź cobądź jednak połączonemi siłami z pomocą szlachetnych dobroczyńców piękny ten zamiar da się w czyn zamienić. W okolicach East-London mieszka wielu ubogich katolików, przeważnie Niemców, trudniących się uprawą niewielkich kawałków jałowego gruntu. Takie stosunki utrudniają niezmiernie urzeczywistnienie wła-

snemi siłami jakiegokolwiek dobroczynnego lub pobożnego przedsięwzięcia, to wszakże, co już dotychczas zdziałaniem zostało, świadczy nader korzystnie o wspaniałomyślności i miłości bliźniego u szlachetnych europejskich dobroczyńców.

Dokładny obraz działalności Córek św. Dominika w Afryce południowej, wymaga również kilka przynajmniej szczegółów o ich klasztorach w missyi nad Zambezą, utrzymywanej przez Ojców z Zakonu św. Ignacego i zostającej pod kierunkiem O. Kerr'a, prefekta apostołskiego. Na rozległym terytorium missyi zambezkiej założyły Siostry Dominikanki trzy rezydencje missyjne i tam właśnie działalność ich największą posiada doniosłość. W całej Zambezii panuje niemal ciągle zabójcza febra, której szerzeniu się napróżno missyjonarze, a nawet lekarze starali się położyć tamę. Wielu czcigodnych Ojców tego Zakonu padło ofiarą choroby wprzód, niż zdołali rozpocząć apostołską pracę, liczni zaś żołnierze i podróżnicy ulegli również temu smutnemu losowi.

Od chwili jednak, w której szlachetne Córki św. Dominika powzięły bohaterski zamiar osiedlenia się w tej krainie, cała postać rzeczy zupełnie się zmieniła. W zacnych zakonnicach znaleźli missyjonarze, żołnierze i krajowcy, prawdziwe Siostry miłosierdzia, które już wielu osobom ocaliły życie, występując odważnie do walki z tak groźnym nieprzyjacielem, jakim jest podzwrotnikowa febra. Dzięki też ich troskliwej pieczy, śmiertelność w tym zakątku Afryki bardzo się już zmniejszyła.

Jakśmy to wyżej powiedzieli, w Zambezii Córki św. Dominika założyły trzy rezydencje. Pierwsza z nich powstała w r. 1890 w Macloutsie (kraina Betszuanów), druga w Salisbury, trzecia zaś w r. 1892 w Wiktorii (Maszonaland). — W Macloutsie pracuje obecnie Matka Jakobia, jako przełożona wraz z czterema Siostrami, naczelny zaś kierunek tej missyi spoczywa w ręku pewnego kapłana z Zakonu św. Ignacego O. Nicot'a.

W Salisbury mieszka Matka Patrycja z pięciu Siostrami, które się trudnią nauką dziatwy szkolnej, pomagają O. Prestage w missyjonarskiej pracy, tudzież pielęgnują chorych w założonym przez siebie szpitalu. Aż do chwili przybycia Sióstr, wyrazy, szpital i pielęgnowanie chorych, były niemal zupełnie nieznanne w tej krainie.

Wreszcie w Wiktorii Matka Klara Huber wraz z trzema Siostrami otacza również wszystkich cierpiących jak najtroskliwszą pieczą, nauka zaś dziatwy odbywa się pod kierunkiem O. Bartłomieja. Gdy wojska angielskie posunęły się ku rzece Zambezii na północ od Maszonalandu, w celu założenia tam nowych angielskich kolonij i dokonania podbojów, wówczas Ojcowie z Zakonu św. Ignacego jako kapelani wojska, wraz z Siostrami Dominikankami, przeznaczonemi do opieki nad rannymi, wzięli również udział w tej wyprawie, która



się odbyła jednak bardzo szczęśliwie, bo bez rozlewu krwi. Zamiast bowiem wytoczyć wojnę barbarzyńskim Matabelom, wojsko w imieniu rządu angielskiego załadowało całą krainą, podzieliło ją na okręgi, oraz założyło miasta Macloutsie, Salisbury i Wiktoryę. Z początku miłośnicy te służyły tylko za warownie lub prowizoryczne obozy, teraz jednak coraz szybciej zaczęły się rozwijać, tak, że można się spodziewać, iż w niedalekiej przyszłości staną się ogniskami kwitnącego handlu.

Największą przeszkodą, tamującą rozwój nowych kolonij, jest cały szereg epidemicznych chorób, a zwłaszcza febra i dysenterja, które w podzwrotnikowych krainach panują podczas całej pory deszczowej, to jest od lutego do czerwca. Ponieważ Europejczycy napotykać tu na każdym kroku niesłychane trudności do zwalczania, nie dziw więc, że klasztor Sióstr bardzo prymitywnie jeszcze wygląda. W Macloutsie szpital, kuchnia i spiżarnia, zbudowane są z cegły i otoczone parkanem, sam zaś klasztor składa się z czterech nędznych, ubożuchnych lepianek. Środkowa chata służy za świątynię, na prawo w również niepoczesnym budynku mieści się rozmównica, na lewo sypialnia Zakonnicek, dalej zaś nieco chałupa służąca za refektarz, a w niewielkiej odległości także sama rezydencja O. Nicot'a. Naprzeciw budynków misyjnych wznosi się mieszkanie wojskowego lekarza, opodal zaś twierdza opasana głębokim rowem, oraz obóz wojenny z magazynami i stajniami.

Siostry żyją tam w takim ubóstwie, że mają do służby Bożej jedną tylko albę, ornat i stułę, ponieważ zaś pragną utrzymać je zawsze w porządku i czystości, dlatego też przed Bożem Narodzeniem musiały jednego i tegoż samego dnia prać je, krochmalić i prasować. Łatwo zrozumieć, jak wielką dla nich pociechę stanowiła Msza pasterska, odprawiona o północy przez Ojca Nicot'a. Nigdzie może na całej kuli ziemskiej nie znalazłby się wówczas zakątek, któryby tak dalece przypominał swem ubóstwem betlehemańską stajenkę, jak rezydencja Sióstr na gorących afrykańskich piaskach. Należy jednak przyznać, że nigdzie też może nie obchodzono uroczystości Bożego narodzenia z tak szczerą radością i weselem.

Rozgłos o troskliwej pieczy, jaką Zakonnice zwykły otaczać chorych, dotarł już nawet do odległych osad murzyńskich. W r. 1892 przed samymi świętami Bożego Narodzenia przybyła do misyi pewna królewska murzyńska rodzina z Palapawy, ponieważ tam właśnie wybuchła wówczas febra. Później nieco wódz betszuański Kame przysłał najstarszą swą córkę, wydaną za mąż za jakiegoś murzyńskiego księcia, do misyjnego szpitala, prosząc Siostry, aby ją pielęgnowały. Biedna kobieta wraz z dwojgiem dzieci, pięcioletnim synkiem i kilkumiesięczną córeczką, była bardzo niebezpiecznie chora na febrę. Karawana betszuańskiego władcy wygłądała po księżęcemu, chociaż nie według europejskich

pojęć, składała się bowiem z kilku ogromnych wozów ciągniętych przez 16 wołów, oraz nader liczne orszaku służących murzynów. Księżniczka murzyńska miała ze sobą dwie damy dworskie, z których jedna zabrała do misyi sześciu swych dzieci.

Co do samego wódza, to jechał on konno w towarzystwie dwóch kamerdynerów murzynów i wyglądał prawdziwie wspaniale. Za wozami pędzono 25 kóz, przeznaczonych do użytku karawany, z których jedna dostarczała mięsna na Boże Narodzenie. Codziennie przynoszono księżniczce świeże kozie mleko, przechowywane w ogromnych tykwowych flaszach. Natychmiast po przybyciu murzyni zapytali o Siostry, dowiedziawszy się zaś, że są one w szpitalu zajęte pielęgowaniem chorych, okazali niezwykłą radość, mówiąc, że wódz Kame kazał im poddać się bezwarunkowo rozkazom doktora i Sióstr, oraz spełniać chętnie wszelkie ich polecenia.

Po upływie tygodnia, stan zdrowia księżniczki znacznie się polepszył, ale mały jej synek był już bliskim śmierci. Nawet doktor stracił wszelką nadzieję jego ocalenia, gdy dnia 26 grudnia choroba dziecka nagle pomyślny przybrała obrót, tak, że ojciec jego, który wówczas właśnie nadjechał, znalazł je już siedzącym i popijającym spokojnie świeże kozie mleko. Radość biednego murzyna nie da się opisać. Gdy już wszyscy odzyskali zdrowie, młoda księżniczka postanowiła złożyć Zakonnicom wizytę w ich klasztorze. Pomimo ciemnej cery, była ona bardzo ładna, ubiór zaś jej odznaczał się przepychem, miała bowiem naszyjnik z pereł, brylantowe kolczyki, oraz mnóstwo złotych pierścieni na palcach. Wyraziwszy Zakonnicom zupełne zadowolenie z troskliwej ich pieczy i wszystkiego, co widział w szpitalu, wódz betszuański pożegnał je serdecznie.

Wszystkie takie miłosierne uczynki wywierają wpływ nader korzystny na usposobienie sąsiednich murzyńskich plemion względem Chrystyanizmu i jego wyznawców. Oby za łaską Bożą biedni murzyni poznali jak najrychlej światło prawdziwej wiary, które uleczywszy dusze ich z grzechów, nauczyłoby ich kochać i wielbić Boga.

Oprócz niebezpiecznych chorób, mają biedne Siostry w Zambezie i innych jeszcze nader groźnych wrogów, a mianowicie: lwy, hyeny i wilki. Niejednokrotnie w nocy złowrogi ryk lwów, przypomina Zakonnicom, że się znajdują w nawpół dzikim zakątku Afryki. Często też do samego niemal obozu zbliżają się całe stada zgłodniałych wilków, zabijając lub kalecząc woły i osły, wycie zaś hyen stanowi niemal codzienne nocne koncerta. Jednak Aniołowie Stróże czuwają litościwie nad Chrystusową trzódką pracującą w głębi Afryki.

Podczas pory deszczowej w r. 1892 wszystkie Siostry z filii misyjnej z Salisbury chorowały kolejno na febrę, w szpitalu zaś znajdowało się wówczas około 300 chorych. Jednocześnie i w Wiktorii szpital przepełniony



był chorymi. Wreszcie i sam O. Nicot zachorował niebezpiecznie; ponieważ jednak w pobliżu nie było żadnego innego kapłana, dowiedziawszy się więc pewnego razu, iż jeden z katolików czuje się bliskim śmierci, chory misjonarz kazał siebie zaprowadzić do łóża umierającego, udzielił mu Sakramentów św. i nie opuścił go aż do ostatniej chwili życia. Gdy jednak odprowadzono go do misyi, zacny kapłan zemdłał, tak, że dopiero po upływie trzech godzin zdołano go ocucić. Łatwo się domyśleć, jak gorąco Zakonnice błagały Boga o uzdrowienie gorliwego duszpasterza. Długo jednak biedny misjonarz walczył ze śmiercią, ale nareszcie stan jego zdrowia zaczął stopniowo się polepszać.

Bóg jeden wie tylko, ile zane Siostry muszą ucierpieć corocznie z powodu febry podczas całej pory deszczowej od lutego aż do czerwca i ilu chorych zawdzięcza wówczas swe ocalenie ich modlitwom, oraz troskliwej i niezmordowanej pieczy. Łatwo też wyobrazić sobie ich radość, gdy się już skończy ten okres prób i cierpień, i gdy pocziwe Zakonnice z całego serca dziękują Bogu za uratowanie życia drogich swych pacjentów. Oby Stwórca raczył błogosławić działalność tych czcigodnych Córek św. Dominika, liczni zaś dobroczyńcy i przyjaciele przyczyniali się do stopniowego rozszerzania się zakresu dotychczasowej ich pracy.



## LISTY Z BENGALU.



Ranchi dnia 15 lipca 1893 r.

Dnia 1 czerwca w szkole ranczyjskiej rozpoczęły się wakacje, ale pomimo tego pozostało u nas około 30 uczniów, którzy z pewnego powodu nie mogli wrócić do domu. Ponieważ pobyt pomiędzy czterema ścianami szkoły wydawał się bardzo nudnym i monotonnym, dlatego też O. Laurent postanowił odbyć z nimi niewielką wycieczkę do Mandaru. Jestto stolica powiatu tegoż nazwiska, leżąca w odległości sześciu mil na północo-zachód od Ranchi i zwiędzana każdego miesiąca przez naszych Ojców. W Europie każda taka wycieczka nie mało za sobą pociąga kłopotów, należy bowiem porozumieć się z administracją kolei żelaznych, w celu otrzymania osobnych wagonów, lub też biletów o niższej cenie. Nie obejdzie się też wówczas bez negocjacji z właścicielami restauracji, w celu zapewnienia z góry dostatecznej ilości jadła dla wszystkich uczestników wycieczki. Tu cała ta manipulacja w daleko prostszy odbywa się sposób, dziatwa bowiem nasza podróżuje pieszo, ciągnąc za sobą na niewielkim wózku zapasy żywności i naczynia kuchenne. Ja wraz z O. Laurent towarzyszę wesołej tej gromadce, jadąc powozem, ciągniętym przez sześciu *kulisów*. Co do Ojca rektora, ten woli jechać konno.

Droga, którą przebywamy, odznacza się jednostajnością, po obu jej stronach ciągną się niezmiernie pola ryżowe, tu i ówdzie tylko wioska ukryta w cieniu drzew mangowych, urozmaica krajobraz. Na drodze spotykamy mnóstwo ludzi spieszących na jarmark do Ranczy, niektórzy zaś z nich zwracają się do nas ze słowami chrześcijańskiego powitania: *Jesu ki barai*, to jest Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Nie podobna wyrazić, jak wielką słowa

te sprawiają nam przyjemność. Wreszcie po upływie pięciu godzin przybywamy do Mandaru.

Dom nasz czyli *bungalow* stoi samotnie na polu i chociaż zwykle bywa pusty, dziś jednak nadzwyczajny przedstawia widok. Oprócz naszych dzieci, przybyli tam wszyscy katechisci z całego powiatu na miesięczne zebranie, mające się odbyć pod przewodnictwem O. Wabrawe. Wreszcie zewsząd napływają liczne gromadki biedaków, pragnących opowiedzieć nam swoje troski i prosić o pomoc. Ponieważ wszyscy byliśmy niezmiernie zmęczeni, pozostawiliśmy więc ważniejsze sprawy na dzień następny, zabraliśmy się do urządzania noclegu. Było nas czterech, w całym zaś domu znaleźliśmy jedno tylko łóżko i parę krzeseł. Po krótkiej więc naradzie, w której każdy wyliczał rozmaite argumenta, ustępując łóżko swemu sąsiadowi, uchwalono jednogłośnie, że zbytkowny ten sprzęt dostanie się w udziale O. Laurent, jako najsłabszemu z całego naszego grona, inni zaś otuliwszy się kołdrami, położyli się na ziemi.

Podczas ożywionej naszej narady, dzieci zajęły się ugotowaniem ryżu, ale w chwili, gdyśmy mieli zasiąść do stołu (przepraszam za mimowolną przesadę, bo stołów tu niema), otóż w chwili, gdyśmy mieli zabrać się do jedzenia, przekonaliśmy się, że miseczki, z których dziatwa nasza jada, pozostały w Ranchy. Co począć? Dzieci cywilizowane znalazłyby się w takim razie w niemałym kłopotcie, tutaj jednak na podobne drobnostki najmniejszej nie zwraca się uwagi. Opodał rośnie niewielki gaik, dzieci więc biegną do niego, zrywają liście z drzew i w kilka minut zaopatrują się w nader tani serwis stołowy.

Gdy się jest porządnie zmęczonym, wówczas na twardej ziemi sypia się również dobrze, jak na najwygodniejszym łóżu. Nic więc dziwnego, że nazajutrz rano wstaliśmy wszyscy zdrowi i weseli. Ojciec rektor wraz z O. Wabrawe pozostali w *bungalowie* w celu udzielania rad biednym ludziom coraz liczniej napływającym, ja zaś z O. Laurent postanowiłem zwiedzić kilka pobliskich wiosek. Nie mogliśmy jechać powozem, ponieważ należało przebywać niezliczone groble szerokie zaledwie na 20—25 centymetrów i dzielące pola ryżowe jedne od drugich.

Jadąc tamtędy wózkiem, podróżny musi niekiedy wykonywać nader zabawne gimnastyczne ćwiczenia ku wielkiemu zdziwieniu krów i wołów, przyglądających się ciekawie swemi dużemi, głupowatemi oczyma. Wycieczki misyjne do wsi, noszą zawsze jedno i te same cechy. Zwykle na samym wstępie zostajemy przywitani głośnie szczekaniem psów, które za każdym zbliżeniem się do nich uciekają, co im sił wystarczy. Potem z kolei wybiegają dzieci na nasze spotkanie, a ponieważ biali ludzie budzą w nich pewną obawę, to też najczęściej ujrawszy nas zdala, uciekają. Wkrótce atoli ciekawość przewycięża trwogę i dzieci wracają, aby się nam przypatrzyć, trzymając się jednak od nas w pewnej odległości. Wreszcie po długich negocjacjach znajdzie się zawsze jakiś pocziwy człowiek, który nam wskaże mieszkanie chrześcijan. Tam zasiadamy na macie, zapytujemy o wszystkich członków rodziny, udzielamy chorym rad, lub lekarstw, zapisujemy dzieci, mogące już iść do szkoły, a wreszcie wraz z całą rodziną odmawiamy krótką modlitwę, prosząc Boga o pomoc i błogosławieństwo. Niekiedy także chrzczymy tam niemowlęta.

Chrzest w Europie wymaga wielu przygotowań, gdyż zaprasza się nań wielu znajomych, którzy kilku powozami jadą do kościoła z wystrojonymi rodzicami chrzestnymi, trzymającymi dzieciątko zanurzone w batystach i koronkach. Tu nic takiego nie znajdziemy; zwykle sama matka przynosi do kaplicy swoje niemowlę, nie mające innego stroju oprócz tego, jakie mu dała matka natura. Na matkę chrzestną zapraszamy pierwszą lepszą kobietę, jaka się nam zdarzy, chrzestnym zaś ojcem bywa najczęściej miejscowy katechista. Wreszcie rozpoczyna się ceremonia. Przedewszystkiem musimy się dowiedzieć o imieniu ojca i matki dziecięcia, jak również o imionach rodziców chrzestnych, ponieważ zaś zwyczaj



miejscowy zabrania żonie wymówić imię męża, często więc w zebraniu niezbędnych szczegółów ogromne napotykamy trudności.

— Jakież imię chcecie dać dziecięciu — zapytuję nakoniec.

— Ty je sam wybierz, Sahebie — odpowiadają rodzice chrzestni.

— Dobrze więc, nazwiemy je Filipem.

— O nie Ojcie, bo we wsi jest już jeden Filip. Ponieważ zaś mieszkańcy Chota Nagpore nie mają wcale nazwisk, nie należy więc istotnie dawać tegoż samego imienia dwojgu dzieciom z tejże samej wioski.

— Macie słusność, damy mu więc imię Ludwika.

— Dobrze, niech będzie Ludwikiem.

— A czy zapamiętacie to imię?

— O tak, Ojcie!

Udzielam więc Sakramentu Chrztu św., po skończonej zaś ceremonii zapytuję znowu:

— Cóż, czy pamiętacie, jak się dziecko nazywa?

Zwykle zdarza mi się w takim razie przeczącą otrzymać odpowiedź, powtarzam więc kilkakrotnie z rodzicami chrzestnymi imię niemowlęcia.

— A teraz czy je zapamiętacie? — odzywam się znowu.

— O tak, Ojcie, nie zapomnimy z pewnością, że się nazywa Ludwik.

Nie poprzestając jednak na tem, zapytuję raz jeszcze o to nieszczęsne imię, gdy zaś rodzice chrzestni wyjdą już za bramę, wołam ich znowu, mówiąc:

— Powiedzieć mi teraz, jak się nazywa dziecko?

Biedni ludzie spoglądają na mnie zmieszani, nie wiedząc co mają odpowiedzieć, ale niema na to rady, bo imię Ludwika pomimo wszelkich usiłowań, nie utkwii im w pamięci, i w dziesięć lat później tożsamo dziecko przybędzie do naszej szkoły z mniej lub więcej zabawnym pogańskim imieniem, jak na przykład Mangra, Tebele, Paklu, Ramszaron i t. p.

W danej chwili dziatwa szkolna w ilości 152 uczniów wróciła już do naszej szkoły. Należy przyznać, że obecna jej liczba nader pokaźnie się przedstawia, nie sądzicie jednak, aby zamiłowanie wiedzy wiodło biedne te dzieci do naszej szkoły. Nie, jądro kwestyi leży gdzieindziej, a mianowicie w tem, że ryż jest drogi, w szkole zaś otrzymuje dziatwa obfite porcje tego ulubionego jada. Nie chodzi nam zresztą o pobudki skłaniające ją do tego, byleby cel nasz został osiągnięty. Ale niestety, utrzymanie i wyżywienie 150 dzieci, nie małe za sobą pociąga koszta, częstokroć zaś kasa misyjna zupełnie bywa pustą. Biedny O. Laurent z największym wysiłkiem zaspakaja potrzeby szkoły, dlatego też w jego imieniu ośmielałem się polecić pamięci wspaniałomyślnych naszych dobroczyńców biedne dzieci, wychowane w szkółce św. Jana Berchmansa.

L. Fleurquin.

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISSYJ.

**Azya. — Chiny.** W południowym Su-Czuenie, w mieście Tan-Lin i jego okolicach, gdzie przed kilkoma laty nie było jeszcze ani jednego chrześcijanina, dziś ilość nowonawróconych wynosi przeszło sto osób i prąd religijny coraz bardziej wzrasta.

Nie szczędzimy też niczego, coby mogło się przyczynić do ewangelizacji tej krainy, najskuteczniejszym zaś do tego środkiem są szkoły i katechiści, odwiedzający pogan w ich mieszkaniach. Tak na przykład Kia-Kiang-hien, piękna stacya misyjna w Hoa-heu-tsuy zdobyła obecnie 130 nowonawróconych, z których 66 otrzymało już Chrztu święty, znaczna zaś ilość rodzin pogańskich zaczęła już chwiać się w swoich przekonaniach, dając nam rękojmię obfitego plonu.

Kilka faktów poniżej przytoczonych, świadczy o tem daleko wymowniej, od najdłuższego opisu.

**Nawrócony góral.** — Wpółśród najwyższych gór — pisze O. Delolme — w pobliżu stacyi misyjnej Far-g-ma-pin, mieszkała pewna poczciwa pogańska rodzina. Gdy pewnego razu ojciec tej rodziny zachorował, natychmiast dzieci jego chciały posłać po czarownika, ale chory ku wielkiemu ich zdumieniu stanowczo oparł się temu. Dowiedziawszy się o tem kilku chrześcijan, mieszkających w pobliżu, przyszło do chorego, mówiąc:

— Ponieważ nie chcesz widzieć czarownika i nie wierzysz w jego gusła, zostań więc chrześcijaninem; masz jeszcze czas potemu.

— Dlaczego nie, i owszem — odrzekł chory.

Wezwano więc katechistę, który wyłuszczywszy umierającemu głównejsze prawdy wiary, udzielił mu Chrztu świętego. Gdy w parę dni później przybyłem do tej wioski, biedny neofita już nie żył, syn zaś jego przyszedł do mnie, prosząc o modlitwę za zmarłego ojca. Natychmiast też kazałem usunąć z mieszkania nieboszczyka wszystkie przedmioty pogańskiego kultu i zastąpiłem je krucyfiksem oraz kilkoma obrazkami, nazajutrz zaś w towarzystwie kilku chrześcijan udałem się znowu do domu zmarłego. Dwaj jego synowie powitali mnie na klęczkach, po odmówieniu zaś modlitw za zmarłych, pokropiłem zwłoki święconą wodą i dałem znak do rozpoczęcia pogrzebowego obrzędu.

W kilka dni później nieszczęśliwa wdowa twierdziła, że widziała zmarłego męża, ubranego białą, uśmiechniętego radośnie i otoczonego licznym gronem tajemniczych jakichś postaci, oraz, że nieboszczyk wyrzekł do niej te słowa:

— Jeżeli chcesz być szczęśliwą i ze mną się połączyć, to zostań chrześcijanką.

Poczciwa kobieta wzruszona do głębi, postanowiła rzeczywiście wyrzec się błędów pogaństwa i wraz z synem zaczęła uczęszczać na lekcye katechizmu.

**Poszczący górnik.** — Jedną z najnowszych i najświetniejszych zdobyczy Chrystyanizmu — pisze O. Boucheré — jest nawrócenie pewnego człowieka, imieniem Li-pe-czaj, przezwanego poszczącym. W osmnastym już roku życia zaczął on pracować w kopalni soli, gdy nagle pewnego razu rozległ się w podziemiu okropny łoskot, grunt zadrżał i cały personal górniczy zniknął w mgnieniu oka. Trzej towarzysze Li-pe-czaja, którzy się najbliżej niego znajdowali, zostali uduszeni lub zabici, on sam zaś upadł ogłuszony na ziemię, ale żadnego nie poniósł szwanku. Z tego też powodu, na podziękowanie bogini Kuang-In, zobowiązał się pościć przez całe życie i otrzymał niebawem przydomek poszczącego. Dzięki swej inteligencji i pracowitości, zdołał on po niejakiem czasie zapewnić sobie dobrobyt, ale zamiast nim się pysznić, nie zapomniał nigdy o swem ubogim pochodzeniu, owszem używał zdobytego wpływu na korzyść biednych i uciśnionych, odznaczając się w każdym wypadku niezwykłą szlachetnością i bezinteresownością. Nie dziw też, że wkrótce wszyscy okoliczni mieszkańcy zaczęli do niego się zgłaszać z prośbą o rozstrzygnięcie swych nieporozumień i sporów.

Pewnego dnia pomiędzy chrześcijanami i poganami wszczęła się kłótnia o kawał gruntu, który w rzeczywistości należał do chrześcijan. Po wielu negocjacjach Li-pe-czaj przyznał słusność chrześcijanom, rozkazując im atoli wypłacić niewielką kwotę w celu uśmierzania gniewu pogan. Wówczas właśnie nie było mnie w domu, natychmiast zaś po moim powrocie Li-pe-czaj przyszedł do mnie, aby się usprawdziwić ze swego postępku. Korzystając z tak pięknej sposobności, zawiązałem z nim rozmowę o religii chrześcijańskiej, względem której poczciwy ten człowiek tak przychylnie okazał się usposobiony, że w tydzień później przyszedł sam na lekcye katechizmu, nauczył się modlitw i w uroczystość Wniebowzięcia Najśw. Panny wysłuchał po raz pierwszy Mszy świętej. Gdy zaś wkrótce potem rodzina jego dowiedziawszy się, co zaszło, zaczęła go obsy-



pywać pytaniami, Li-pe-czaj wyznał całą prawdę, nie tając bynajmniej pobudek swego postępowania.

Największe nieszczęście, a nawet utrata całego mienia nie przeraziłaby tak dalece całej rodziny, jak słowa dzielnego katechumena. Usłyszawszy je żona, zaczęła krzyczeć i obrzucać męża obelgami, dzieci się rozplakały, wszyscy zaś poczytywali go odtąd za idyotę lub waryata. Zwrócono się nawet do czarowników z prośbą o zdjęcie czarów, rzuconych nań przez przekłętą Europejczyka, przyjaciele go opuścili, rodzina nim wzgardziła, słowem nie zaniechano nic, coby zdołało go odwieść od powziętego zamiaru. Nadto inne jeszcze dotknęły go próby, gdyż kilka spekulacji, na których wielkie pokładał nadzieje, zawiodły najzupełniej jego oczekiwania, a na domiar złego, młodszy jego syn w niebezpieczną zapadł chorobę. Ponieważ pozostałem już wówczas jedynym jego przyjacielem, starałem się więc pocieszyć nieszczęśliwego, odwiedziłem chore dziecko, dałem mu parę lekarstw i Pan Bóg wysłuchał widocznie gorących moich modłów, gdyż niebawem chłopak odzyskał zdrowie.

Powoli położenie biednego katechumena zaczęło się polepszać. Na Boże Narodzenie dziesięcioletni jego synek przyszedł po raz pierwszy do naszej kaplicy, na Wielkanoc zaś żona Li-pe-czaja, która z początku tak nieprzychylnie względem nas była usposobiona, wzięła również udział w naszym nabożeństwie. Towarzyszyła jej kuzynka, trzymając na ręku chore swoje dziecko, o uzdrowienie którego chciała błagać Pana Boga i Najśw. Pannę. Dziecię to miało zaledwie lat cztery i od trzech miesięcy przestało chodzić i mówić, tak, że się zdawało, iż lada chwilę umrze. Dlatego też zrozpaczona matka położyła je na ołtarzu Najświętszej Panny, błagając o miłosierdzie Tej, którą Kościół święty zowie Uzdrowieniem chorych. Rzeczywiście po wyjściu z kaplicy dziecko nagle się obudziło i po raz pierwszy od kilku miesięcy wymówiło głośno imię swojej matki. Cóż to była za radość dla biednej kobiety! Dziś ukochany jej synek nie tylko zdrow jest zupełnie, ale z pomiędzy wszystkich tutejszych dzieci największym stał się figlarzem.

Zapomocą tak widocznych łask Pan Bóg raczył pocieszyć zacnego Li-pe-czaja i oświecić całą jego rodzinę, dla której w obecnej chwili zakończył się już okres ciężkich prób i nieszczęść. Dzięki zaś tak niezaprzeczonemu błogosławieństwu Bożemu, dawne uprzedzenia powoli się zatarły, cała ta rodzina nawróciła się i została ochrzczoneą, dziś zaś wszyscy jej członkowie bez względu na pogodę lub słotę, spieszą każdej niedzieli na nabożeństwo do misyjsy. Stary tylko dziadek trwa jeszcze uporczywie w poganizmie, zamykając oczy przed światłem prawdy. Bądźmy jednak cierpliwi i miejmy nadzieję, że wszechmocny i miłosierny nasz Stwórca raczy sam zmieknąć tę zatwardziałą duszę.

**Cnotliwa neofitka.** — Posłuchajmy teraz pięknego opowiadania O. Bérauda:

W stacy misyjnej Tsy-tien-pa mieszka pewna 70-letnia bezdzietna wdowa, nawrócona przed dziesięciu laty. Od dawna już trudniła się ona sprzedażą herbaty w niewielkim szataście, zbudowanym z desek na rynku miejskim i pomimo swego ubóstwa potrafiła jeszcze wspierać uboższych od siebie. W roku ubiegłym Pan Bóg chcąc bardziej jeszcze ją doświadczyć i przysporzyć jej zasługę, dotknął biedną kobietę ciężką chorobą, po której cała prawa strona jej ciała została sparaliżowana. Cóż miała począć nieszczęśliwa wdowa, utrzymująca się z pracy rąk własnych? Atoli Pan Bóg jej nie opuścił. Oto trzy chrześcijańskie rodziny wraz z kilkoma pogańskimi, zaczęły każdego tygodnia zbierać pomiędzy sobą składkę na korzyść chorej, pewna zaś poganka przyrzekła codziennie przyrządzić jej jadło. Tak więc pocziwa neofitka, która niegdyś spieszyła z pomocą wszystkim, dziś utrzymywać się musi z publicznego miłosierdzia.

Pomimo tych prób i cierpień, ufnosć w miłosierdzie Boże ani na chwilę nie zachwiała się w jej sercu. Zaczyna kobieta odmawiać sobie najniezbędniejszych rzeczy, aby mózdz za każdą bytnością mis-

syonarza dać mu niewielką kwotę na odprawienie Mszy świętej. W prostocie i niewinności swego ducha powtarza ona niekiedy, iż nie mając żadnych osobistych zasług i nie mogąc uczynić nic dobrego, musi prosić o Mszę świętą, aby Pan Bóg po śmierci przyjął ją do nieba. Pocziwa staruszka nie chce tego zrozumieć, że cierpienie większą nawet niekiedy niż dobre uczynki przynosi zasługę. Jakże piękną nagrodę przygotował jej zapewne Pan Bóg za tak wzniosłe i szlachetne cnoty!

**Nawrócenie w szpitalu.** — Pewien poganin imieniem Tsen, służył u jakiejś pogańskiej wieśniaczej rodziny. Razu pewnego biedny służyący zachorował na tyfus, pan zaś jego, bojąc się zakażenia tą chorobą, kazał go w sposób nieludzki wyrzucić po za dom na plantację cukrową, nie troszcząc się wcale o dalsze losy nieszczęśliwego chorego. Było to w jesieni, noce bywały już chłodne, a na domiar nieszczęścia rozpoczęły się słoty. Za cud też chyba poczytać należy, że biedny Tsen wówczas nie umarł. Wreszcie krewni dowiedziawszy się od litościwych przechodniów o jego chorobie, zabrali ztamtąd i otoczyli troskliwą opieką, ale niestety nie zdołali przywrócić mu zdrowia, gdyż nieszczęśliwy po przebytych tyfusie utracił władzę w obu nogach. Ponieważ zaś rodzina zbyt była ubogą, aby mógł go utrzymać własnym kosztem, odwieziono więc biednego kalekę do naszego szpitala. Tam właśnie miał nań spłynąć promyk łaski Bożej.

Wkrótce po swem przybyciu chory dał się z łatwością przekonać o prawdziwości religii, która każe mieć litość nad nieszczęśliwymi. Dałem mu więc kilka książek do nabożeństwa, które ciągle odczytywał, zapytując obecnych o wszystko, czego nie zdołał zrozumieć. Niejednokrotnie znajdowałem go klęczącego przy ubogim łożu i w gorącej zatopionego modlitwie. Przez czas całego pobytu w szpitalu chory zdumiewał wszystkich swą pobożnością, cierpliwością i rezygnacją, jedynym zaś jego pragnieniem było jak najrychlejsze otrzymać Chrzest święty. Wkrótce też, widząc, że choroba coraz szybsze robi postępy, przychyliłem się do jego prośby i udzieliłem mu tego Sakramentu. Nazajutrz zaś dusza jego oczyszczona z grzechów, opuściła ziemską powłokę i uleciała do nieba, by tak jak Łazarz cieszyć się wiecznem szczęściem przed tronem Pana Zastępów.

#### **Misyjonarz Assyryolog.** — Czytamy w *Matin*:

O. Scheil, Dominikanin z Alzacy, znany już dobrze jako assyryolog, został wysłany przed dwoma laty przez rząd francuski do Konstantynopola w celu zbadania starożytności assyryjskich, przechowywanych w tamtejszem muzeum. W ostatnich czasach odczytał on wiele napisów na ceglach ze zwalisk Niniwy i ogłosił wyniki swych prac w rozmaitych wydawnictwach, poświęconych tej gałęzi wiedzy, teraz zaś wybiera się w podróż do Mezopotamii, aby tam kosztem tureckiego rządu rozpocząć poszukiwania archeologiczne.

**Nowa misysa w Kalmunai.** — W roku ubiegłym X. Melizan, ówczesny biskup Dżaffny, a dzisiejszy arcybiskup Kolombo, założył na krańcach południowego Wschodu nowe ognisko misyjne, zwane misysą w Kalmunai, poczem wezwawszy jednego z najgorliwszych misyonarzy, rzekł:

— W nowej tej misysi znajdziesz mało katolików, ale natomiast wielu pogan i mnóstwo protestantów, którzy będą się starali ciągle wyrządzać ci przykrość. Bądź jednak spokojny, Bóg cię nie opuści, owszem wynagrodzi twe trudy.

»Otrzymałszy więc błogosławieństwo od mego biskupa — pisze do nas O. Delpach — puściłem się w drogę do tego odległego posterunku, rachując jedynie na opiekę Opatrzności, która mnie tam wysłała i której miałem stać się pokornym narzędziem.

»W Kalmunai znalazłem małeńki kościółek pod wezwaniem Najświętszego S. Jezusowego i chatkę, do której wchodząc, musiałem zginać się we dwoje, wpośrodku zaś dziedzińca ujrzałem cztery słupy wbite w ziemię i przykryte dachem. Była to kuchnia. Pomimo



tego radość z nawracania dusz każe zapominać o rozmaitych stronach ujemnych pod względem materyalnym.

„Oprócz katechizacji nielicznych katolików w Kalmunai, zajmę się również nauczaniem pogan i w tym celu zwiedziłem przede wszystkim niektóre sąsiednie wioski, a między innymi Sawalakadei, wieś dotąd jeszcze pogańską, ale w której protestanci założyli już szkołę. Mam jednak nadzieję, że niebawem mieszkańcy tej wioski nawrócą się na katolicyzm. Wówczas też na miejscu szkoły protestanckiej powinna stanąć katolicka szkoła wraz z kościołem».

**Pogrzeb hinduskiego guru.** — Siostra Józefa, katechistka-misyonarka ze Zgromadzenia Niepokalanego Poczęcia, pisze z Nagpore pod dniem 20 września 1893 r.:

„Przed kilku dniami umarł w Nagporze pewien *guru*, czyli kapłan pogański, bardzo bogaty i tak stary, że już od pół roku podobny był raczej do mumii, niż do żyjącej istoty, nie mógł się poruszać i nie jadł nic wcale, tylko od czasu do czasu wlewano mu do ust trochę wody, którą machinalnie połykał. Był też okropnie chudy i suchy jak szkielet.

„Zaledwie wydał ostatnie tchnienie, natychmiast dokoła domu zebrały się tłumy ciekawych, zaczęto strzelać i uderzać w bębny, zagrała nawet orkiestra, której najęte wtórowały płaczki, słowem, możecie się domyśleć, jaki to był koncert.

„Jednocześnie zabrano się do przystrojenia zmarłego w najpiękniejsze szaty i posadzono go na tronie, osłoniętym baldachimem z czerwonej tkaniny. Tron ten umieszczono następnie na noszach i natychmiast też wyruszył orszak pogrzebowy; w Indyach bowiem skostatowanie śmierci niewiele zabiera czasu. Podczas pochodu kilkakrotnie zatrzymywano się i stawiano nosze na ziemi, wówczas zaś krajowcy umyślnie wybrani w tym celu, sypali przed trupem czerwony jakiś proszek, a w kilka chwil później orszak podążył dalej, krzycząc, śpiewając i płacząc.

„Wreszcie całe to grono przybyło na miejsce nieco odosobnione od miasta, na którym odbywa się zwykle ceremonia palenia zwłok. Przedewszystkiem należało wnieść stos z drzewa sandałowego, gdyż na takim tylko stosie ciała ludzi zamożnych bywają palone. Wogóle materyał użyty do stosu, zależy od stopnia zamożności zmarłych, tak, że na przykład zwłoki osób ubogich, albo z najniższej pochodzących kasty, płoną po prostu na stosie z chrustu i rozmaitych śmieci.

„Wreszcie stos zapala się zapomocą rozżarzonych węgli, przyniesionych w miedzianej miseczce, którą krajowcy zowią *schati*. Dokoła stoi tłum poważny, milczący, ale bynajmniej nie smutny, płomienie wzbijają się w górę, wstrętna zaś woń napęnia powietrze. Gdy nakoniec czaszka zmarłego pęknie od gorąca, wszyscy zaczynają się rozchodzić i przy stosie pozostaje tylko kilku najbliższych krewnych, którzy muszą zabrać popioły ze sobą, lub wrzucić je do rzeki».

**Afryka.** — Hołd złożony misyonarzowi przez pewien dzieńnik protestancki. W dzienniku *Le Temps* złożył p. Franciszek Sarcey rozrzucający hołd pamięci pewnego Brata szkół chrześcijańskich, zmarłego po czterdziestu latach apostołskiej pracy nad Senegalem. Pan Sarcey zaznacza słusznie, że imię skromnego tego nauczyciela powinno być jasnie obok imion znakomitych naukowych badaczy, z których ludzkość tak jest dumna. Jeżeli z jednej strony odkryciem nowych krain wielką przynosi zasługę, to również zaszczytnem zadaniem jest kształcenie i cywilizowanie mieszkańców tych krain. Z zadania zaś tego Brat Didier-Marie wywiązywał się zawsze sumiennie i gorliwie.

Brat Didier-Marie przybył do Senegalu w r. 1853 z rozkazu swych przełożonych, z głębokim przekonaniem, że niedługo zdoła tam wyżyć, ponieważ klimat tamtejszy oddziaływa zwykle zabójczo na zdrowie Europejczyków. Pomimo tego nie wahał się ani chwili

i z radością pospieszył do tej krainy, której miał poświęcić resztę swego życia. Był to człowiek bardzo energiczny, zdolny i inteligentny, z niezwykłą zaś przedsiębiorczością łączyła się w jego duszy głęboka wiara, która góry przenosi. Rzeczywiście również trudną rzeczą jak przenieść górę, było założyć w barbarzyńskiej tej krainie szkołę europejską, aby w niej kształcić młodzież, mającą wrodzony wstręt do naszych obyczajów, zwyczajów i religii. Z początku zwłaszcza krajowcy bali się okropnie Europejczyków i starannie ich unikali. Jak więc pozyskać ich zaufanie i wykorzenić tak potężne oraz głęboko zakorzenione przesady? Atoli dzielny ten człowiek potrafił tego dokonać, jedyną zaś jego bronią była łagodność, cierpliwość i niepospolity takt, z jakim umiał wytłumaczyć na wprost dzikim murzynom, że pragnie tylko ich dobra.

Niebawem szkoła jego napęlniła się dziećmi, za którymi przybyli i rodzice. Wkrótce zaś Brat Didier oswoił się tak dalece z trybem życia krajowców, że dziwił się niezmiernie, widząc Europejczyków, których miejscowe zwyczaje raziły lub śmieszyły. Można by rzec, że zapomniał nawet zupełnie o Europie, tak dalece Afryka stała się drugą dla niego ojczyzną. Jednym z pierwszych jego uczniów był generał Dodds, ale zaś współczesne młode pokolenie w Senegalu jemu zawdzięcza swoje wykształcenie.

**Ostatnie wieści z misji na wybrzeżu Złotem.** — Pewna zakonnicza z misji afrykańskich w Lyonie, pisze z Cap-Coast pod dniem 8 października 1893 r.:

„Do niewielkiego naszego kościółka napływają tłumnie poczciwi krajowcy, szkoła zaś coraz pomyślniej się rozwija, tak, że w obecnej chwili mamy już około stu uczniów i uczennic. Niektóre dzieci są jeszcze bardzo małe, czarne zaś ich kędzierzawe główki ładnie wyglądają.

„Codziennie po lekcjach odwiedzamy rodziców naszej dziatwy, a przedewszystkiem stare i schorzone kobiety, których oświecanie w wierze, a zwłaszcza nawrócenie, wielką przynosi nam pociechę. W ostatni niedzielną jeden z misyonarzy ochrzcił cztery takie kobiety, z których dwie zostały przezemnie nawrócone. Chrztos odbył się w ich własnych mieszkaniach, ponieważ biedne staruszki nie mogą już chodzić. Wiele nieszczęśliwych tych istot nie słyszało nigdy o prawdziwym Bogu i przez całe życie składało cześć fetyszom, jedyną zaś dla nich rozkoszą jest obfite jadlo.

— Ach! — rzekła raz do mnie jedna z tych kobiet — jakże się cieszę, że zostałam ochrzczona, bo przynajmniej Pan Bóg da mi w niebie dużo smacznych potraw do jedzenia. Lepiej byłoby jednak, gdyby Pan Bóg już tu na ziemi dawał nam ulubioną naszą potrawę *fufu*, bo w takim razie nie potrzebowałabym umierać!

„Jakże wielką łaską Niebios jest urodzić się w katolickim kraju i jak nieszczęśliwi są ci, którzy od dzieciństwa w pogańskim przebywali otoczeniu! Módlcie się więc i zachęcajcie innych do modlitwy, bo ona tylko może zbawić dusze».

**Przyszłość i potrzeby misji w Zambezie.** — O. Torrend z naszego zakonu, pisze do nas z misji świętych Aniołów Stróżów w Kwelimanie:

„Missye dolnej Zambazy, a mianowicie stacye misyjne w Kwelimanie, Milanje, Boromie, Zumbo i Inhambane, należą podług mego zdania do posterunków apostołskich, mających najpiękniejszą przyszłość przed sobą. Niejednokrotnie z boleścią w sercu spoglądam na setki tysięcy Kafirów z okolic Kwelimane, usposobionych jak najprzychylniej dla świętej naszej wiary, a których ewangelizacyą, z powodu braku środków, dotąd jeszcze nie możemy się zająć. W ostatnich czasach missya nasza nabyła kawał gruntu w Kaulani i zaczęła budować tam dom, ale, niestety, brak funduszy zmusił niebawem misyonarzy do przerwania robót.

„Ponieważ ja właśnie zostałem wyznaczony na misyonarza do Kaulani i bawię już tutaj od trzech tygodni, każdej więc nie-



